Nr. 12. Kraków, grudzień 1909. Rok X.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 1·50 | za granicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

PO ZWYCZAJU.

Po zwyczaju na kolędę
Idziem w wasze progi —
Niech radosny powiew słońca
Złoci dom ubogi...
Niech wam wszystko szczęściem stroi
Dzień po dniu w tym roku...
Niech nie będzie śladu troski
Ni łez smutku w oku.

Po zwyczaju na kolędę...
Spieszymy z opłatkiem...
Przyjmcie gości, choć nieznani
I obdarzcie datkiem,
Ni nam grosza, ni nam chleba
Jeno serca trzeba.
Za miłością ludzi tęsknim,
Jak za gwiazdą z nieba.

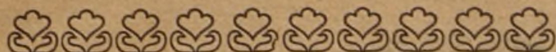
Po zwyczaju na kolędę...
Z gawędą stajemy...
Na siew złoty, na chleb duszy
Ziarneczka niesiemy —

Przyjmcie szczerze..! nie żałujcie
Kątka dla zmęczonych...
Tak nam dobrze będzie z wami
W pośród ścian bielonych.

Po zwyczaju na kolędę...
Rwie się serce żywo...
Zaśpiewamy pieśń radosną
Kolędę prawdziwą...
Chwała Bogu na niebiosach
Pokój nam na ziemi.
Serce dajcie nam za serce,
Bądźcie nam bliższymi,

Po zwyczaju na kolędę
Idziem w wasze progi
Niech radosny promień słońca
Złoci dom ubogi...
I wspomnijcie o tych kiedyś,
Co nucą piosenki...
Z pól i łanów biorą struny
Do cichej lirenki.

Jadwiga S.



Bóg się rodzi.

„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan Niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony.
Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny Król nad wiekami;
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.
Cóż masz niebo nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście Swoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje;
Niemało cierpiał, niemało,
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.
W nędznej szopie urodzony,
Żłób Mu za kolebkę dano,
Cóż jest, czem był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! Was to spotkało,
Witać Go przed bogaczami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.
Potem i króle widziani,
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary Panu w dani:
Mirę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało
Z wieśniaczemi ofiarami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.
Podnieś rękę, Boże Dziecię!
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę Swą siłą.
Dom nasz i majętność całą
I Twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Franciszek Karpiński urodzony w Kołomyi w r. 1747, należy do celniejszych poetów polskich XVIII stulecia. Obdarzony żywą wyobraźnią i wielkiem umiłowaniem swojskości, odczuł doskonale i odtworzył w swych pieśniach ducha polskiego ówczesnego społeczeństwa, skrystalizowanego w sferze ziemiańskiej, u ludu i szlachty drobnej, napoły schłopiałej. Wychowany przez dzielnego, choć surowego ojca, Karpiński tem bardziej rozumiał wartość miękkiej słodyczy i miłości i z takąż opiewał to wszystko, co sam kochał i co za kochania godne nadewszystko uważał. Uczucie religijne wysoce u niego rozwinięte, natchnęło go do napisania całego szeregu przepięknych nabożnych pieśni jak n. p. powszechnie znane i śpiewane „Kiedy ranne“ lub „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ oraz kilkunastu kolend, z których najpiękniejszą powyżej podałyśmy.



Legenda pasterska.

Boski Wędrowiec.

Działo się to już bardzo, bardzo dawno, kiedy to jeszcze piękne góry Karpackie nie były pokryte żywicznymi lasami, nie wyrastały tam limby i kosodrzewina, ni kwieciły się doliny tysiącem różnobarwnego kwiecia, ani też na wysokich turniach wyrastał kwiat szarotki.

Brzydkie, szare niebo zwieszało się nad nagiemi, smutnemi skałami, a zimą śnieg przykrywał wszystko jednostajną białą płachtą, aż do późnej wiosny. Nie było też w okolicy tylu pięknych domów, co dzisiaj.

Jedyna uboga pasterska chata wznosiła się na zboczu, którą zamieszkiwał ubogi pasterz Szymon z żoną i dwojgiem dzieci.

Było to w przeddzień Bożego Narodzenia, a w dniu tym za owych starych czasów działy się jeszcze rozmaite cudowne rzeczy, o których teraz tylko opowiadają czasem starzy ludzie.

Dzień cały ubogi Szymon gnał owieczki swoje po stromych, zaśnieżonych wzgórzach. Wracał z zimowego szałasu, gdzie właśnie

dojadły dzisiaj ostatni kęs suchej trawy, przysposobionej jeszcze latem. Idąc tak za ubogą trzódką swoją, zziębnięty, zgłodzony, uczuł się nagle bardzo nieszczęśliwym, wielki smutek owładnął sercem jego.

Pomyślał, że od samego przyjścia swojego na świat biedował tylko, ciężko harował, nie zaznawszy nigdy ulgi, ni spoczynku — a teraz myśl o przyszłości dwojga ukochanych dzieci napełniała go troską i niepokojem.

Marzył o lepszym dla nich losie i w tym świętym dniu Narodzenia Pańskiego myśl jego wznosiła się do Boga Wszechmogącego, który mocen jest ulżyć losu każdego nieszczęśliwego.

Wieczór już zapadał, kiedy dochodził do swego domostwa. A tymczasem całe niebo pokryło się jakby zwałami czarnych, ciężkich chmur. Mroźny wiatr halny zerwał się od północy i dął, niemiłosiernie świszcząc i wyjąc przeraźliwie.

Zwartym szeregiem, jedna przy drugiej, tuląc się do siebie, biegły biedne owce, spiesząc się, by co prędzej znaleźć się w zacisznej stajence i skryć przed strasznym wichrem, który je zacinał jakby ostrymi biczami, tak, że drżały i dygotały całe z zimna.

Biedna chata pasterska, nie nawykła do tak strasznej zawieruchy, zdawała się rozlatywać cała i zapadać w posadach.

W chwili, kiedy pasterz wchodził na próg domu, wicher przyniósł odgłos dzwonów z oddalonego miasteczka.

— Święto — westchnął Szymon, upadając znużony na ławę — święto — dla szczęśliwych, bogatych ludzi w mieście, ale nie dla nas biednych pasterzy.

Żona zgromiła go za to złe usposobienie, które wniósł z sobą do wesołej, świątecznie przystrojonej izby. W czasie nieobecności męża pobieliła ją i przyozdobiła choiną, a teraz na kominie buzował suty ogień, do którego dorzucały co chwilę suchego chrustu dwoje dzieci Szymona, gwarząc z sobą wesoło.

Blask ognia padał na czysto wymytą i białym piaskiem wysypaną podłogę, na sosnowe stołki i ławy, rozświetlał umieszczone nad listwą obrazy, tak, że oblicza świętych zdawały się ożywiać, a oczy patrzeć z uśmiechem łagodnym na zgromadzoną rodzinę pasterską, Szymon spoglądał na krzątającą się koło ogniska żonę, która właśnie dobywszy z popiołu, gorące, pieczone ziemniaki postawiła na stole, obok buchającego parą zaprawionego grzybami żuru postnego.

Kiedy brał łyżkę i wspomniał na straszną noc burzliwą, uczuł nagle wielką błogość w sercu. A kiedy żona opowiedziała mu jeszcze, jak to od przechodnich kupców dziś rano, za swój pięknie sprzędziony len, otrzymała tłustą karmną gąskę, którą na jutrzejszy obiad przygotowuje, Szymon począł wesoło gawędzić z dziećmi, opowiadając im, jaką to straszną drogę miał do domu, jak go wiatr halny mało z nóg nie zwalił, a biedne owieczki kuliły się i drżały od zimna.

Kiedy po wieczerzy dzieci spać poszły, Szymon z żoną siedzieli za stołem i przysłuchiwali się szalejącej za oknami burzy. ciesząc się, iż mają w tej nocy okropnej bezpieczne nad głową schronienie. Przy ogniu dopiekała się gąska, a smakowity zapach rozchodził się po całej izbie. Wtem dało się słyszeć gwałtowne pukanie do drzwi i głos wołający:

— Otwórzcie, dobrzy ludzie!... Przez miłość tego Boga, który dzisiejszej nocy na ziemię schodzi, ulitujcie się!

Pasterz wstał i spytał:

— Kto jesteś?

— Ubogi starzec — odpowiedział głos — który od wielu godzin błąka się w tę noc okropną. Wicher zwalił mnie z nóg, tak, że tylko ostatkiem sił wlokę się dalej. Tchu brak mi już w piersiach. Otwórzcie, jeśli macie serce ludzkie!

Pasterz miał serce ludzkie, więc otworzył. W drzwiach stał starzec o szlachetnej postaci. Oblicze jego, które okalała gęsta srebrna broda, było bardzo piękne, błękitne

oczy przypominały pogodne niebo. Ubiór starca chociaż ubogi, nie miał w sobie nic pospolitego, nie miał także torby żebraczej, w ręku trzymał tylko kij długi, jakiego używają w górach, na którym się wspierał z godnością...

— Bóg z tobą, szlachetny panie — rzekł pasterz zdziwiony.

— I z tobą też, mój synu — oby błogosławieństwo spoczęło nad tym dachem — odpowiedział podróżny, a glos jego brzmiał słodko i zachwycał jak muzyka.

— Gościu mój! — przemówił znowu pasterz — czy mogę cię zaprosić na nasz skromny posilek?

— O daj się panie namówić. Północ już minęła, możemy rozpocząć świąteczną ucztę *). Gąska rumiana już jak nowy dukat, — zapraszała uprzejmie gospodyni, rozpościerając na stół najbielsze w domu płótno.

— O dzięki wam — odparł starzec. — Posiłek wasz pożądanym jest, ale już sama wasza gościnność napełnia serce moje radością... Ale co widzę?... dzieci, — rzekł pochylając się nad pościelą. — Niewinne małe istotki, jakżeż one śpią spokojnie!... Sny ich muszą być piękne i miłe... Dziecię Jezus zsyła im tej nocy śliczne obrazki senne.

Pasterz i jego żona słuchali wzruszeni. Czuli się wobec tego gościa dziwnie zmieszani i onieśmieleni.

— Dawno już — bardzo dawno temu w krainie, gdzie powietrze lekkie i czyste urodził się Zbawiciel — a niebo nie było wtedy takie czarne i posępne jak teraz, ale jaśniało przecudowną gwiazdą nadziei... Świat był młodszy o tyle mnóstwo lat — i ludzie do dziś dnia żyją jeszcze urokiem tego wspomnienia...

Pasterz i jego żona czuli, że starzec ten mówi rzeczy dziwne i bardzo ważne.

Wkrótce zasiedli do stołu, a gość chwalił nieustannie wzorowy ład w chacie, gościnność sielską serc prostych a szczerych, wreszcie zadowolenie i szczęście, jakie się zdawało tu panować.

Słysząc takie mniemanie, Szymon żywo zaprzeczył i jął opisywać swoją niedolę, ciężką, nieustanną przez całe życie swoje, pracę, troskę i biedę, która ich częściej nawiedzała, aniżeli szczęście.

Lecz starzec pocieszał go:

— Pasterz — mówił — który żyje swobodnie w górach, nie jest istotą nieszczęśliwą. Pomyśl tylko o rozmaitych w życiu ciężkich krzyżach ludzkich. Nie w pałacach, jak sądzisz, żyją szczęśliwi. Często ci, których mamy za szczęśliwców, są najnieszczęśliwszymi. Błogosławieni ubodzy, którzy jak ty, Szymonie, idą spokojną ścieżką życia swego.

A kiedy tak mówił starzec, głowa jego zdawała się jaśnieć aureolą, srebrna broda rzucała oślepiające promienie, a cała postać zdawała się otaczać jakimś nadziemskim blaskiem.

— Przebiegłem świat cały — mówił dalej — i widziałem dużo dziwnych rzeczy. Mieszkałem w pałacach wspaniałych, wzniesionych z marmuru i agatu, przeglądających się w jeziorach przeźroczystych, dokoła których wyrastały najpiękniejsze kwiaty, i w zamkach wyniosłych, zbudowanych z ciosów kamiennych, otoczonych cienistymi parkami, cichemi jak grobowce. I mieszkałem w chatach i lepiankach ubogich, i przekonałem się, że tylko pod dachem niskim istnieje prawdziwe szczęście, pełne prostoty i naiwności.

Umilkł.

Teraz cała izba zdawała się tonąć w światłości. Boski starzec stał przed nimi cały promieniejący niewymowną pięknością.

Szymon i jego żona, ujrzawszy tak cudowne zjawisko, strwożeni upadli na kolana do nóg jego, szepcząc słowa pełne pokory i uwielbienia.

— Nie trwóżcie się, — rzekł im łagodnie. — Jam jest ten — który przynosi Pokój. Będziecie żyli szczęśliwi, wy i dzieci

*) Za dawnych czasów, jeśli kto miał na to, po „Pasterce“ zastawiano sutą mięsną wieczerzę.

wasze. Odejmę sercu waszemu na zawsze zazdrość i pożądanie tego, czego nie macie. Góry, pośród których żyjecie, przyozdobię w zielone lasy, w rzadkie żywiczne drzewa, które nigdzie nie rosną, doliny napełnię wonią ziół uzdrawiających, a nawet w szczeliny nagich skał w pamięć nocy dzisiejszej posieję kwiatmiękki, jak serce dobrego człowieka, kształtem przypominający gwiazdę Bożą.

Dam wam słoneczne zimy i nieupalne lata, byście każdego dnia, wdzięcznem sercem, chwalić mogli Stwórcę za to, że wam dozwolił w tak pięknym żyć kraju. Z miast dalekich ludzie bogaci przybywać będą ku wam — po zdrowie i ukojenie duszy.

Teraz na dworze zupełnie ustała burza, a gwiaździste niebo patrzało w okna pasterza. Szymon i jego żona chcieli wyjąkać słowa dziękczynienia, ale boskiego gościa nie było już w izbie, chociaż drzwi były szczelnie zamknięte.

Z wiosną zaś, tak, jak przepowiedział boski wędrowiec, góry pokryły się gęstymi lasy żywicznymi, doliny rozkwitły kwieciem najbarwniejszem, dziewięciorniki, lilie i szarotki pokryły szczyty skalne, a niebo czyste jak oko anioła, rozpostarło się nad błogosławioną krainą pasterzy.

Zakopane, w grudniu 1909. *A. B.*



W WIECZÓR WIGILIJNY.

Mróz na noc bierze. Gwiazdy świecą.
W wiosce już ucichł dzienny gwar.
Czasem sinawe mgły przelecą,
Do snów podobne, czy do mar.

Każda chałupa ogniem błyska
Żółtawem światłem barwi śnieg,
A w górze wiedźma Świętokrzyska
Z dymem się puszcza w szybki bieg.

Gdzieś zdala słychać rżenie koni
I nietoperza szybki lot,
To starą wiedźmę upiór goni.
To zamiauczy kędyś kot.

To znów gdzieś w dali kur zapieje,
Lub pies zawyje w straszny ton,
Puhacz się głośno roześmieje
I znowu ciszy dzwoni dzwon.

. . . .

W chałupie ciepło. Stół nakryty,
Widać opłatek pośród mis,
A światek córki faworyty
Z pułapu ponad stołem zwisł...

Już ojciec swoją drżącą dłonią
Biały opłatek z misy wziął.
Krzyż na nim — z orłem i pogonią —
Cisza... bo smutek wszystkich zdjął.

. . . .

Śpiewają wszyscy po wieczerzy
Starym zwyczajem cudną pieśń,
Kochaną nutę „w żłobie leży"
Zamierzchłych czasów cenną pleśń.

I ile chałup — tyle głosów
Wita Narodzin wielki Cud!
I płyną głosy do niebiosów.
Gdy chwali Boga polski Lud.

. . . .

Mróz coraz większy. Gwiazdy świecą
W wiosce już ucichł dzienny gwar.
Czasem sinawe mgły przelecą
Do snów podobne, czy do mar.

Każda chałupa ogniem błyska,
Żółtawem światłem barwi śnieg.
Lecz ukończone już igrzyska,
Ustał już czarnych duchów bieg.

A we mgłach płynie Anioł biały,
W prawicy złoty trzyma krzyż,
Wsłuchany w polskie te chorały,
Co aż do nieba lecą wzwyż.

I krzyżem Polskę błogosławi,
Ten wszystek polski Boży Lud
I prosi — „niech ich Bóg wybawi.
Niech im wolność ześle cud!"

Julian Borkiewicz.



Część I. z obrazu scenicznego p. t.

UCIECZKA DO EGIPTU.

Przez A. Bandrowską.

Scena przedstawia pustynię, spaloną żarem południowego słońca. Dokoła połyskują nagie skały. W głębi duża grota – przed nią na wysmukłej łodydze, z rozpalonego piasku wykwita lilia woniejąca, pokryta rosą świeżą. Grota mieni się tęczami. Staje się prześwietloną i przejrzystą. Wtedy widać w niej uśpionych troje wędrowców: starca i niewiastę cudnej urody, z dziecięciem u boku.

Niewidzialny chór aniołów śpiewa:

U-tali — w pośród drogi,
Znój święte oblicza znoi,
Miecz zawisł nad nimi srogi,
Gdzieś słychać chrzęsty zbroi.
Zawzięty ściga ich wróg,
Wcielony kryje się Bóg!...

Jasny obłok spływa nad grotę; główki cherubinów i serafów ukazują się w chmurkach Jeden wychyla się do połowy, powiewając girlandą świeżych róż, mówi słodkim głosem:

CHERUBIN.

Usnęła Matka i Dziecię,
Na rzęsach szklą się łzy,
O syna niepewna życie,
Przez sen się trwoży i drży.

Aniołów cichemi loty
Po przez lazurów mgły,
Sen na nią spuśćmy złoty,
Z lic pozbierajmy łzy.

Różane wonie i blaski
Na czoło lejmy bez skaz,
Niech spojrzy pełna łaski
W obrazy cudnych kras.

Niech śni się dziecka chwała,
Złocisty królów chram,
Jeruzalem wspaniała,
Gdy wita Go u bram.

Na przyszłe sądy, wyroki,
Zakryjcie matki wzrok,
Żółć, gąbkę, krzyż i ćwioki
W gęsty zasuńcie mrok.

Niech śni się dziecka chwała,
Niebieska wieści wieść,
To ducha moc zdziałała,
Co z ducha weźmie cześć!...

Obłoki zasuwają się. Ściemnia się, a w mgłach ukazują się senne obrazy: Tryumfalny wjazd Chrystusa do Jerozolimy. Wszystkie drogi i dachy przepełnione ludźmi. Pacholęta sypią kwiaty, powiewając gałęziami oliw i palm. Słychać dźwięki harf i okrzyki: Hosanna. Matka uśmiecha się przez sen i wyciąga ręce do zjawiska. Powoli wszystko znika, a z nieba spuszcza się anioł-dziecię, z srebrnym dzbankiem w ręku. Za niem lecą dwa motyle: niebieski i złoty (Aniołek uklęka przed lilią, przechylając dzbanek

ANIOŁEK.

Zdrój leję, zdrój ze dzbanka,
Nie giń mi kwiatku w pustyni,
Każdego czerpię poranka,
Tam, przy anielskiej dolinie.

Za życia byłem chłopięciem,
Igrałem w ogródku mej matki,
A teraz Bożem dziecięciem,
W niebie podlewam kwiatki.

Motylku, braciszku mały,
I ty lilijko w rozkwicie,
Blaskami, wonią, urokiem,
Niebieskie strzeżcie dziecię!...

Aniołek odlatuje. Pustynią kroczy anioł wichru, zasypując ślady, pozostawione przez uciekających. Obłok szary otula go całego. Ogromne skrzydła u ramion. Twarz tylko błyskawicowa i oczy rozświecają tę groźną postać.

ANIOŁ WICHRU.

Zawieję piaskiem ślady,
Wśród grząskich zatopię fal...
Król w zamku czeka blady,
Wieści wygląda z dal.

Gwiazda go trwoży złota,
Co błysła w nocnych mgłach.
Zbrojna chce zgasić rota,
Gwiazdę marzoną w snach.

Podniosę słup kurzawy,
Rozwieję ślady precz!
Niech czeka w zamku krwawy,
Niech kaci ostrzą miecz!...

Nie zgasł oprawców ręką,
Blasku, co złoci już wschód!
Pójdą za gwiazdą-jutrzenką,
Stęskniony pójdzie lud!...

Słychać z daleka dźwięki wiejskiej kolendy, bliżej, raz dalej. Przesuwa się obraz zaśnieżonej wsi polskiej, drogą idą kolendnicy z gwiazdą na czele i śpiewają. Po chwili wszystko znika, a na scenę wkracza oddział zbrojnych żołnierzy, wysłany przez Heroda, na poszukiwanie Dziecięcia

Dalsza treść tego utworu jest następująca: Dowódca oddziału, znużony daremną, całodzienną drogą, upada znużony na głazy, podczas gdy żołnierze jego zapuszczają się w głąb pustyni na zwiady. Przeklina los swój i poprzysięga krwawą zemstę ściganym. Wtem spostrzega cud: lilię wśród pustyni i motyle, pijące rosę świeżą, zbliża się i poznaje wędrowców. Podnosi miecz, by zabić Dziecię i głowę Jego zanieść Herodowi, lecz dokoła groty dzieją się cuda. Motylki i kwiecie lilji, z któremi Boskie Dzieciątko nieraz igrało wśród łąki i świętemi swemi rączkami strzegło od złych przygód, chronią Je teraz, czyniąc rozmaite żołnierzowi przeszkody. Wreszcie dają się słyszeć w powietrzu głosy anielskie, blaski biją od główki Dzieciątka, cała grota mieni się, jak na początku, nadziemskiemi światłami, tak, iż żołnierz przerażony rzuca miecz swój srogi o ziemię i uznaje w Dziecięciu Boga, oddając Mu na kolanach hołd. Żołnierze wracają z wycieczki i stają zdziwieni. Chóry aniołów zstępują z nieba i otaczają grotę, śpiewając: Chwała na wysokości, a pokój ludziom na ziemi. Dziecię Jezus wychodzi z groty z gałązką oliwną w ręku i wznosi ją ku zbrojnym żołnierzom. Ci rzucają swoje miecze na ziemię.



Dobre słowa.

I.

Boże Narodzenie: Komuż z nas nie zadrży i nie roztkliwi się serce na te dwa tajemicze — pełne godności słowa: Boże Narodzenie!

Szczególniej nam, Polakom, jest to święto nad wyraz drogiem i kochanem. Jak daleko sięgnąć myślą w przeszłość — snują się jak perły z nici zsuwane — lata przeżyte — święta jedne za drugiemi, dawno — dawno minione. W domu dźwięczy pieśń prastara — kolenda prosta — skromna — naiwnie nieraz pomyślana w słowach i muzyce, a jednak zdolna szarpnąć najbardziej nazewnątrz zimnem i wystygłem sercem.

Naród nasz od wieków odznaczał się pobożnością i głęboką wiarą — to też wszystkie przepisy religijne i obchody wypełniane były u nas zawsze z czcią wielką i powagą. Zresztą w duszy każdego Polaka — choćby to była dusza prosta i nieuczona — złożył Bóg iskierkę, która w danej chwili wybuchnąć w wielki ogień może. Iskierką tą jest właśnie owa głęboka, gorąca wiara, fanatyczne przywiązanie do ziemi, do zwyczajów, do tradycyi idącej od wieków, niezmierne ukochanie wszystkiego, co swoje i w głębi ukryta gotowość do walki na śmierć i życie w obronie zagrożonych świętości, wierzeń, języka praojców i ojczystego zagona.

Świadkiem tego są dawne wojny naszych przodków z niewiernymi — świadkiem są kości bohaterów rozrzucone w dalekich lodach Syberyi — świadkiem tego jest szczytne bohaterstwo dzieci Wielkopolskich, dających się do krwi katować za pacierz polski i mowę ojczystą — świadkiem jest ów sławny Drzymała — trzymający się pazurami ojczystego zagona — — — —

Wszystkie te przeszłe, teraźniejsze i przeczuwane w przyszłości męki i ofiary, otaczają nasz naród jakby aureolą jasną i każdy z nas — wielki czy maluczki, jest jakimś innym niż dzieci innych, szczęśliwych, wolnych narodów.

Na dnie duszy każdego z nas, czasem przysutą grubą warstwą trosk, kłopotów o chleb powszedni, szarzyzną życia — prostactwem — powierzchowną obojętnością, jaśnieje tu drobna iskra Boża, nie wygasa nigdy, mimo przeróżnych starań, ucisków, gnębień i prześladowań wrogów naszych.

Tak i powinno być! Stójmy twardo przy swojem — nie dajmy się ani w najmniejszych drobnostkach opanować obczyźnie — szanujmy język nasz i prastare zwyczaje i obyczaje — ratujmy się wzajemnie — kupujmy u swoich i nie zapominajmy ani

na chwilę — że jesteśmy narodem wielkim i przez męki i cierpienia do wielkich rzeczy przeznaczonym.

II.

Ogólną klęską naszego stulecia jest niesłychana drożyzna żywności i w ogóle utrzymania. To też zarząd średnio lub małozamożnego domu (nie mówiąc już o zupełnie biednych) przyczynia gospodyniom domu niemało troski i rozmyślań, aby koniec z końcem jakoś godnie związać: — A tu nadchodzą święta — nowe wydatki: wigilia – podarki – służba — – — Wśród takich okoliczności zdarza się nieraz usłyszeć narzekania na wydatki świąteczne i zdania — szczególniej młodych ludzi: że święta to są przesądy, z których już nam wyróść pora.

Zapewne. Jeśli kto – aby się pokazać i prześcignąć drugich, wydaje więcej, niż wydać ma i może; jeśli kto uważa święta za sposobność do kosztownej zastawy i wystawy – temu nie przyniosą one ani zadowolenia ani radości – tylko troskę i gorycz. Nie nazywajmy jednak tradycyjnej wigilii i dzielenia się opłatkiem, przesądami!

Sięgnijmy myślą wstecz — do lat dziecinnych — czyliż najpiękniejsze ze wspomnień nie są związane z widokiem wigilijnego stołu — czyliż nie wzruszało się nasze serce na widok garstki siana pod śnieżnym obrusem — na widok snopka owsianego w kącie jadalni — na dźwięk prostej kolendy?

Zabłysła już pierwsza gwiazdka na niebie! Oto najdroższy ojciec — umiłowana matka! Oto srebrnowłosa — zgarbiona wiekiem babka – oto dziadek staruszek – oto mąż z żoną — oto sierotka krewna, tuląca się do swoich.

— — — — — — — — — —

Wszyscy oni — ktokolwiek się zjawi w naszych wspomnieniach — niezwykle wyglądają.

Czyżby ich gromadziła tylko chęć użycia jadła i napoju? Ach nie! Co innego rozjaśnia im twarze!

Jasne, czyste i rzewne uczucia malują się na tych drogich licach.

Ojciec rodziny trzyma opłatek w ręku i łamie się nim z rodziną i czeladką.

Jakaż uroczysta chwila! Jak każde serce wezbrane miłością — jak gorące błaganie leci do tego Dzieciątka, którego święto Narodzin święcimy. Daj nam doczekać w zdrowiu niejednej wigilii: zachowaj nam naszych drogich.

Jak tęskna leci myśl ku tym — których już brakło między nami! Jak otwarte w tej chwili serca nasze dla każdej niedoli i każdego smutku!

I czyż do tego potrzeba koniecznie całej kosztownej i wystawnej kolacyi?

Mamy swoje od wieków ustalone tradycyjne potrawy – które w dniu tym na stole polskim zawsze występują, a w dniu tym, jakoś inaczej — specyalnie smakują: czy to barszczyk postny — czy rybka – czy kutia.

Połączyć zachowanie dawnego obyczaju z konieczną dziś oszczędnością jest obowiązkiem dobrej i dbałej o dom pani i gospodyni.

My wszyscy powinniśmy dziś być oszczędni. Nie skąpi! Polak nawet nie potrafi być skąpym – bo to nie leży w naszej naturze. — My nawet oszczędzać nie umiemy.

A jednak musimy się nauczyć tej cnoty! Musimy sobie odmawiać niejednego i nauczyć tego dzieci nasze — bo my wszyscy — wielcy i mali, dążymy do wielkiego celu: odrodzenia Ojczyzny! Każdy musi teraz dać swój grosz na cele ogólne. Mnożą się różne konieczne ofiary narodowe; każdy z nas musi się ostatkiem podzielić z Matką naszą — Polską uciśnioną. Oszczędzać więc nam należy dla Niej jak najwięcej – stawać się umiarkowanymi w wymaganiach — czystymi w dążeniach — ofiarnymi z zapałem — bo my przechodzimy próbę ogniową i musimy z niej wyjść czyści jak złoto i godnie przygotowani do takiego szczęścia, jakiem będzie kiedyś nasze wolne życie w wolnej umiłowanej ziemi.

Niech więc żadna z gospodyń nie troszczy się i nie trapi, że oszczędzać trzeba — że święta sprawi skromne. Niech przedewszystkiem dba o zachowanie prastarego zwyczaju — niech się stara, aby jej dzieci miały kiedyś w swym skarbcu wspomnień najcenniejsze klejnoty: wspomnienie wspólnie łamanego opłatka, echa rzewnej kolendy i serdeczną miłość i poszanowanie dla zwyczajów, tradycyi i pamiątek.

III.

Czyż musi być na stole koniecznie kosztowne wino, kiedy w domu niema czasem i na szklankę piwa; czy drzewko urządzone dla dzieci musi się iskrzyć od szkieł i świecidełek – i to obcego wyrobu — kiedy mogłoby być ubrane cudnie jabłkami i orzechami i różnemi ozdobami zrobionemi w domu – rękami chętnych ciotek - sióstr lub młodej — kochającej i rozumnej matki.

Pamiętam z mego dzieciństwa – uroczystość dostania pierwszego w życiu drzewka. Pamiętam do dziś bicie serca z powodu przeczuwanego ujrzenia cudów. A cuda te były całkiem proste, swojskie! Nie było tam ani „sopli lodowych“, ani „podpórki z muzyką“, ani „włosów anielskich“! A jednak do dziś – w rzewny i tkliwy sposób przypominam sobie radość i zachwyt dziecięcy na widok jabłuszek krwistoczerwonych, orzechów złoconych, fig, rożków, daktyli, a koszyczki małe z kartonu wycinane i złocone — wyroby domorosłe i skromne, wydawały mi się cudem wprost z nieba wziętym. A jak mi się wydawała cudną myśl Jezuska — który przyniósł drzewko wprawione w duży klocek, a klocek ten był miękkim aksamitnym mchem otulony. Na nim leżały pod drzewkiem rozłożone dary dla „niani“ i innych sług. Z jakąż radością niosłam im te od Jezuska przysłane stroje, a potem obrywałam garściami przysmaki z drzewka, aby je rozdawać pastuszkom nadeszłym z kolendą pod nasze okna! I serce moje dziecinne przepełnione było wdzięcznością dla Jezuska za tyle wspaniałości, kolenda wydawała mi się boską muzyką, a szopka cudem świata!

Tak samo urządzałam później drzewka własnym dzieciom i taki sam u nich był zachwyt gorący — wdzięczność dla Jezuska i podziw szczery a przecież ani ja, ani dzieci moje nie byliśmy wyjątkami. Wszystkie dzieci są takie same — zależy tylko od tego, jak są chowane i do czego przywiązane.

Dzisiejsze drzewka więcej się iskrzą szklanemi ozdobami — więcej są kosztowne i pretensyonalne – więcej w nich formy, niż treści, a co najgorsze — że budzą u dziecka coraz bardziej idące pożądanie błyskotek i przepychu — i cel robienia drzewka staje się całkiem chybiony. Drzewka takie są wyglądem bardzo do drzewek niemieckich zbliżone, a już to samo powinno nam obrzydzić te wszystkie szwabskie wymysły nasyłane nam przemocą przez różne firmy, próbki i cenniki. Mamy swoje lasy bogate — gdzie rosną sosenki i świerczki — mamy swoje sady, z których jabłuszka ozdobią polskie drzewka — mamy miody własne na pierniczki. Przyuczajmy dzieci do umiarkowania i prostoty we wszystkiem, a będzie i nam i im stokroć lepiej na świecie.

Jadwiga Szędzińska.



POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Klęski te, poniesione przez Iwana Groźnego w roku 1564., uspokoiły go na czas jakiś, lecz nie na długo, tymczasem zaś król szwedzki Eryk, rozgniewany upominaniem się Zygmunta Augusta o więzioną przez Eryka siostrę Katarzynę i jej męża, zapragnął zdobyczy w polskich Inflantach — lecz srodze mu się nie powiodło. Wojsko jego wyparte z Inflant i ścigane przez kasztelana żmudzkiego Falwosza, poniosło ostateczną klęskę pod wsią Kirempe, nieopodal Rewla, w roku

1567. Szwedzi kirempskie pola zasłali trupami, a niedobitki ich musiały szukać schronienia w twierdzy rewelskiej.

Odtąd szczęście służyło stale orężowi Zygmunta Augusta.

W tym samym roku 1566., gdy Iwan na nowo rozpoczął kroki wojenne przeciw Polsce, Roman Sanguszko, naówczas hetman nadworny litewski na polach izwańskich koło Czaśników, mając tylko 1900 żołnierzy, rozbił w puch 8 tysięcy Moskali i Tatarów, prowadzonych przez Piotra Serebrnego, który sam ciężko raniony, zaledwo z placu boju ujść zdołał. Poległ w tej bitwie dowódca Tatarów Anuwał, a nasi utraciwszy zaledwo dwunastu poległych, zdobyli cały obóz nieprzyjacielski i pojmali wielu znakomitych bojarów moskiewskich, między tymi kniazia Wasyla Pałeckiego. Tegoż roku jeszcze obskoczył Sanguszko niespodzianie inny, świeżo nadciągający oddział nieprzyjacielski, złożony z sześciu tysięcy jazdy moskiewskiej i trzech tysięcy Tatarów, pomiędzy Ułą a Soszą. W zaciętej bitwie z tym oddziałem poległ hetman moskiewski Mienszuk, dwaj inni, Józef Szczerbaty i kniaź Jur Boratyński dostali się do niewoli, wraz z ośmdziesięcioma znakomitymi dworzaninami kniazia Iwana Groźnego.

W następnym roku, 1568., równie szczęśliwie prowadził Sanguszko wojnę. Dnia 28 września odebrał zamek Ułę, gdzie zabrał kilka chorągwi, dział 27, oraz wziął w niewolę dwóch dowódzców moskiewskich, trzystu bojarów i wielu żołnierzy.

Gdy na północno-wschodnich kresach Polski mężny hetman nadworny litewski gromił moskiewskich bojarów, niemniej szczęśliwie bronił południowych wojewoda sieradzki, Olbracht Łaski, który pogromił Tatarów, naruszających granice polskie. Pogromił ich nad Morzem Czarnem, pod miastem Oczakowem.

Gdy tak zwycięsko powiewały orły białe nad Dźwiną, Dnieprem i Bałtykiem na północy, nad Morzem Czarnem na południu, król uspokojony o całość granic, pracował gorliwie nad ostatecznem zjednoczeniem Litwy z Koroną, zwoływał w tym celu sejmy, koronny w dalszym ciągu do Piotrkowa, potem litewski w roku 1564. do Bielska na Podlasiu, później wspólny dla Koroniarzy i Litwinów do Parczewa. Następnie znów koronny do Piotrkowa w r. 1565. i w następnym 1566. roku wspólny do Lublina.

Na sejmach tych, obok załatwiania spraw bieżących, wciąż omawiano sprawę ostatecznej unii.

Sprawa ta dlatego tak szła oporem, gdyż na Litwie, pomimo wprowadzenia już od stu pięćdziesięciu lat, bo od unii horodelskiej, polskich porządków, równości i wolności polskiej, wciąż jeszcze istniała różnica pomiędzy ziemianami, a dawnymi książętami, którzy godności senatorskie, t. j. urzędy wojewodów i kasztelanów, uważali za im tylko należne, a innych członków stanu rycerskiego do nich nie chcieli dopuszczać, posiadali prócz tego dobra, w których pełno było drobniejszej szlachty, zupełnie od nich zależnej.

W razie zupełnego zlania się Litwy z Koroną, wszystko to ustać musiało, a nawet włościanie musieli posiąść większą swobodę, aniżeli przyznawały im prawa litewskie.

To też książęta owi i wielmoże litewscy starali się jak najdłużej odwlekać sprawę unii, bo żal im było tytułów książęcych i kniaziowskich, które w Koronie znaczenia nie miały, bo żal im było rozmaitych praw i przywilei, które im jeszcze przysługiwały, a nadal istnieć nie miały i nie mogły, bo bali się równości rycerskiego stanu, która ich, dawnych książąt, kniaziów i wielmożów, zrównać miała ze zwykłymi ziemianami.

Natomiast zwykli ziemianie litewscy, pragnęli jak najrychlejszego zjednoczenia się z Koroną i uzyskania w całej pełni takich praw, jakie posiadali obywatele koronni.

Przy ich pomocy starał się król sprawę przyspieszyć, którą rad był jak najrychlej do szczęśliwego doprowadzić końca. Król Zygmunt August nie był szczęśliwym w swoim

życiu osobistem. Pierwsza żona, Elżbieta, którą poważał i lubiał, odumarła go bardzo rychło, druga Barbara, ukochana przez niego nad życie, doznała, jak wiadomo, niezmiernie wiele przykrości, a żyła z nim jeszcze krócej i umarła w chwili, gdy się zdawało, że będzie mógł z nią używać szczęścia w spokoju i pomyślności. Później nakłoniono Zygmunta Augusta do małżeństwa ze siostrą pierwszej jego żony, z Katarzyną, która chociaż była osobą dobrą i kochała go tkliwie, cierpiała na tak zwaną „wielką chorobę" i taki w nim wstręt wzbudzała, że gdy żądano, by jej od siebie nie oddalał, lecz żył z nią dla dobra rodu swojego i kraju, odpowiedział: „raczej śmierć, niż to!"

Żyjąc samotnie, po rozłączeniu z Katarzyną, nie mając nikogo, kogoby pragnął mieć następcą po sobie, oddał się cały pracy nad dobrem Polski, którą kochał całem sercem i pragnął, by była wielką, potężną i szczęśliwą.

Niezwykły to był król, król prawdziwie polski, który szczęścia ojczyzny nie widział w potędze władzy królewskiej, ale w szczęściu narodu, a za konieczne warunki szczęścia tego uważał wolność i równość!

Takiego władcę miała Polska w chwili gdy, nie mówiąc już o Iwanie Groźnym, który szalał w Moskwie, cała Europa z wyjątkiem jednej Polski i wśród gór ukrytej Szwajcaryi, jęczała pod władzą despotów. Gdy książęta niemieccy byli małymi, nieudolnymi tyranami, gdy w Italii, rozdzielonej na małe państewka, nieubłagani rządzili despoci, gdy królowie francuscy, straszliwie uciskali naród, a król hiszpański Filip II. z zamiłowaniem dręczył Hiszpanów i ujarzmionych Niderlandczyków i zaprowadził świętą inkwizycyę, która wdzierała się w najtajniejsze myśli jego poddanych i pracowała nad tem, ażeby ich zamienić w posłusznych niewolników, pozbawionych woli i samodzielności.

Około roku 1568. sprawa unii dojrzała, prócz tego umarło w tym czasie kilku największych przeciwników jej na Litwie, panów możnych i wpływowych; wśród ziemian zaś litewskich wzrastało pragnienie zawarcia ostatecznego związku z Koroną. To też król postanowił korzystać z tak szczęśliwych okoliczności i dnia 23. grudnia 1568. roku zwołał wspólny sejm Korony i Litwy do Lublina. Sejm, który miał się stać jedną z najpiękniejszych kart historyi polskiej, jej chlubą i zaszczytem.

Inż. Eustachy Śmiałowski.



Odkrycie bieguna północnego.

Wiecie, kochani Czytelnicy, że ziemia jako kula, obraca się w 24 godzinach około swej osi tj. linii myślnej, która przechodzi przez środek ziemi, a końce tej osi zowią się biegunami. Jest ich dwa, północny i południowy. — Gdybyśmy tę oś w myśli przedłużyli poza biegun północny w nieskończoną dal przestworza niebieskiego, natrafilibyśmy na gwiazdę, która jasno i pięknie świeci w gromadzie Wielkiego Wozu, a nazywa się gwiazdą polarną. Ktoś więc, stanąwszy na samym biegunie północnym, widziałby prościuteńko nad sobą tę gwiazdę polarną. Otóż od dawnych lat, bo więcej jak od stu pięćdziesięciu, ludzie zajmujący się badaniem ziemi — tak zwani geografowie i odkrywcy — pragnęli dotrzeć do bieguna, aby się przekonać, jak też tam ziemia wygląda. Wiedzieli, że im dalej na północ i południe się posuwamy, tem mniej spotyka się lądów, a więcej mórz — ciepłota coraz bardziej się obniża, śniegi i lody zajmują ogromne obszary, noc trwa całe pół roku, przez co roślinności prawie że niema — a zwierzęta żyją tylko bardzo nieliczne i to przeważnie takie, które wielkie zimno wytrzymać mogą, jak lisy, niedźwiedzie i niektóre drapieżce wodne — a co do ludzi, to jedynie bardzo zahartowani na mrozy

i bardzo małem się zadawalający, jak n. p. Eskimosi — wcale nie ucywilizowani, dzicy i biedni – przebywać tam mogą.

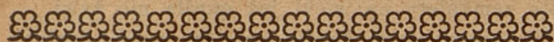
Dostęp do krajów tych — tak północnych jak i południowych — jest dla nas nadzwyczaj utrudniony, a pobyt tamże niemal, że niemożliwy, głównie z powodu bardzo wielkich mrozów i braku wszelkich dogodnych schronisk. To też uczeni geografowie, którzy od czasu do czasu takie podróże w celach naukowych przedsiębiorą, muszą ze sobą wozić wszystko potrzebne im do życia, więc: grubą, bardzo ciepłą odzież, namioty, opał, materyal do oświetlania, żywność, sanie i łodzie, broń, oraz wszelkie narzędzia do budowania chat w lodzie i śniegu – do naprawy i sporządzania nowych a koniecznych przedmiotów, wreszcie instrumenta naukowe do robienia pomiarów, badań i t. p. Takie statki, czyli okręta, na których się w taką podróż puszczają, muszą być ogromnie silne i wytrzymałe, aby ściśnięte olbrzymiemi krami lodowemi, nie uległy zgnieceniu lub strzaskaniu.

Nic więc dziwnego, że najbardziej odważni, dzielni, śmiali i dla celów naukowych ofiarni i poświęcający się żeglarze a badacze, mimo największych wysiłków nie mogli dotąd dotrzeć do bieguna ani północnego ani południowego. Jedni z drogi wracali zniechęceni przeszkodami i trudnościami, o których ani pojęcia nie mieli; inni życie własne na ofiarę złożyli, ginąc śmiercią straszną, samotni, na bezludziu, wśród pól lodowych i zasp śnieżystych – na wieczny sen śmierci spowici w całun niepokalanej, zimnej, bezlitośnej bieli. — Jeden z nich wreszcie, André puścił się tam balonem, sądząc, że może łatwiej mu będzie powietrze opanować niż te srożące się góry i zwały lodów, te morza najeżone krami ostremi, te płaszczyzny bez końca zasypane śniegiem. — Lecz i on zginął – i on nie doleciał do celu.

Aż dopiero przed dwoma miesiącami rozeszła się po świecie całym gromka wieść, że słynny już z poprzednich swych wypraw podróżnik amerykański, Dr. Cook, wraca z dalekiej północy dosięgłszy bieguna samego, – a w parę dni później przysłał i drugi także Amerykanin Peary, telegram z kraju Eskimosów, że był na biegunie i odkrył go. — Na razie nie można sprawdzić, który z nich istotnie dojechał na sam biegun północny, czy może obaj tam byli, tylko w różnym czasie, i inną drogą, więc się nie spotkali, i dlatego jeden drugiego podejrzywa o przywłaszczanie sobie slawy pierwszego odkrywcy. W każdym razie, zdaje się, że miejsce i położenie bieguna już nie jest tajemnicą, że jeśli nie obaj ci podróżnicy, to z pewnością jeden z nich dotarł do tego, tak długie wieki nieznanego, a zaciekawiającego świat punktu ziemskiego, że zbadał tam wszystko, co godne było zbadania — i że nam to w swych sprawozdaniach dokładnie przedstawi. Amerykanie cieszą się swymi ziomkami – bohaterami, a cały świat oczekuje opisów, które dadzą nam poznać z tak nadzwyczajnymi trudami dokonane odkrycie. Dzienniki całego świata donoszą już niektóre szczegóły opowiadania Dr. Cooka o tej jego podróży – ale wszystkie jego zapiski, notatki, spostrzeżenia i pomiary badać będą uczone towarzystwa geograficzne i te dopiero wydadzą ostateczny sąd o prawdziwości jego zeznań.

Tymczasem z zajęciem i zaciekawieniem dowiadujemy się, jak to Eskimosi dzielnie mu w wyprawie tej pomagali – jak psy północne setkami mil ciągły sanie po lodach – jak Cook z towarzyszami swymi polował na straszne drapieżce, które im futer i mięsa dostarczały – jak długą, bo pół roku trwającą noc, musieli przepędzić na mrozie 50 stopniowym w lichych w śniegu wygrzebanych schroniskach, poowijani w skóry i futra, grzejąc się przy piecykach, które z sobą przywieźli i pracując przy mdłem świetle lampek, nad przygotowaniem zapasów do dalszej drogi — słowem, ile to trudów, niebezpieczeństw, gróźb śmierci niechybnej i przeszkód — zda się nieprzebytych — trze-

ba im było pokonać, aby tego wiekopomnego dokonać wreszcie dzieła, dzieła wielkiej wagi dla nauki i wielkiej doniosłości dla ludzkości całej. *M. T. Bł.*



Jakim był kraj, z którego przybył do nas król Jagiełło?

Rok 1910 przynosi nam pamiętną w dziejach, wielką, pięćsetletnią rocznicę tryumfu oręża polskiego nad ciemiężcą Niemcem-Krzyżakiem, rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. Zanim dzień ten święcić będziemy uroczystym obchodem, zanim złożymy hołd Jagielle jako bohaterowi Grunwaldu, gdzie ugiął harde karki krzyżackie, przenieśmy się myślą w dal wieków pięciu, w kraj on daleki, puszcz i dębów świętych, zniczowych ogni pełen, które ściąć i zalać kazała, skąd na tron Piastów przywiodła, królem-bohaterem uczyniła, dzikich borów władcę, ofiara dziewiczego serca Kazimierzowej wnuki, ukochanej przez naród Jadwigi.

Kraj to piękny a dziwny, od naszego różny wielce. Mówi o nim poeta Adam Mickiewicz:

„Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba kochać — ten tylko się dowie, kto [cię stracił —

i prosi Najświętszej Panny, aby przenosiła duszę jego utęsknioną:

„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie burs tynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną — na niej zrzadka ciche grusze siedzą“.

Jakże inaczej przedstawiała się Litwa orszakowi polskich duchownych i świeckich panów, towarzyszących Jagielle w jego apostolskiej podróży.

Kraj ten o wiele dalej na północ wysunięty od naszego, ma klimat ostrzejszy, zimę długą, mroźną, śnieżną, wiosnę zalewającą ogromne obszary szaremi falami topniejącego śniegu, krótkie gorące lato, sypiące mnóstwem barwnego kwiecia na zielone murawy. na pola i ogrody i jesień, darzącą plonem nie bogatym, mało urodzajne niwy. Za czasów Jagiełły kraj to był dziki prawie, w przeważnej części pokryty nieprzebytymi dziewiczymi lasami i borami, wśród których największą była istniejąca po dziś dzień puszcza Białowieska. „Puszcze te — mówi historyk Szajnocha — poprzecinane wewnątrz szerokiemi łąkami i jeziorami, zagęszczone wszelkimi rodzajami krzewów i drzew, pełne błąkających się w ich cieniu gromad zwierza dzikiego, przedstawiały te niezmierzone przestwory leśne, jakoby osobne państwo roślin i zwierząt takie same za Jagiełły, jak w pierwszych dniach stworzenia“.

Ludzie zdawali się ginąć w nieprzeniknionej gęstwie puszcz, zaledwie po brzegach ośmielali się tknąć siekierą odwieczne drzewa, po brzegach polować na zwierza dzikiego, który z głębi lasów wyszedłszy, tu się zabłąkał. Gdzie nie mogło dosięgnąć oko i ręka, tam sięgała fantazya ludzka i głębię puszcz zaludniała dziwami, bóstwami złemi i dobremi, nimfami i olbrzymami. Wśród puszcz rozlewały się jeziora wielkością swą morzu podobne, przecinały kraj liczne rzeki, spływające w jedną stronę do Niemnu – jak Wilija z Wilejką, w drugą znów do Prypeci a z nią do czarnomorskiego Dniepru. Gdzie nie było lasu ni jeziora, tam świeciły żółte piachy, niby dno wód, świeżo wyschniętych.

Posłuchajmy znowu jak cudnie opisuje Mickiewicz lasy litewskie, mówi on:

„Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza,
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice...
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.

Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem
Dalej spotkać się z większem masz niebezpie-
[czeństwem
Dalej co krok czychają niby wilcze doły
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą,
Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, ziouąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę.
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami już nietylko krokiem
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem.
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem.
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi,
A za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica,
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt
[rodu
Jedna przynajmniej para, chowa się dla płodu
W samym środku — jak słychać — mają swoje
[dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory
Około nich na drzewach, gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale,
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy
Żyjące z pańskich stołów, dworscy zausznicy,
Te pary zwierząt główne i patryarchalne
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne.
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu,
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną,
Mają też i swój cmentarz, kędy bliscy śmierci
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie prze-
[żuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już osiwieje, sokół gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk
[skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz raniony
Lub chory bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek
[gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości
Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami,
Jeszcze cywilizacyą ludzką niepopsuci
Nie znają praw własności, która świat nasz
[kłóci
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki,
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie...
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż nie-
[zbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia
Jakim, w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzały na Adama, nim się z nim skłóciły,
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przy-
[stępu".

(Ciąg dalszy nastąpi).



O PRACY.

Umieć pracować jest może jedną z najważniejszych umiejętności. Wprawdzie już sama natura człowieka polega na ustawicznym ruchu, ale i niema też człowieka, któryby nie marzył o błogim spoczynku — i najruchliwszy nawet umysł nie znosi nieustannego wysiłku.

Rzeczywisty spoczynek powstaje jako naturalny przestanek podczas codziennego snu, odżywiania się, wreszcie jako wypoczynek niedzielny po tygodniowej pracy.

Każda tedy czynność, każda praca, jeżeli ma się rozumieć nie jest bezcelową za-

bawką, ma własność wzbudzania w nas zainteresowania, jeżeli tylko staramy się w tę pracę głębiej wniknąć. Największem zaś nieszczęściem dla człowieka jest życie, spędzane bez pracy a więc bez żadnych owoców dla ludzkości.

To też ludzie bez pracy, pozbawieni możności oddawania się jakiemukolwiek zajęciu, to pożałowania godni na tym padole Do tej kategoryi ludzi należałoby przedewszystkiem zaliczyć wielu z klasy bardzo zamożnej. Ci oddani lenistwu napróżno oczekują upragnionego spokoju, lecz niestety nie mogą znaleźć tego wewnętrznego zadowolenia, bo nie szukają go w samej pracy.

Słusznie też pracę można zalecić jako skuteczny środek przeciw wielu chorobom i dolegliwościom obecnego wieku.

Życia bowiem nie należy używać, ale trzeba go sobie tak ukształtować i ułożyć, by było i dla nas i dla społeczeństwa pożyteczne. Jest to rzecz niezmiernej wagi, życie bowiem uregulowane według powyższych zasad, nie pozwala nam popaść w gnuśność i bezczynność, a przytem krzepi, ożywia i ciało i ducha.

A praca pracy nierówna. Są bowiem czynności, mające zaledwie pozór pracy i na to tylko są głównie obliczone. Mądry jednak człowiek unika tego rodzaju pracy, która go nigdy nie zadowoli.

Łatwo tedy wyrozumieć, dlaczego wszelka mechaniczna praca tak mało nas zadawala, gdy przeciwnie rzemieślnik lub rolnik bardziej czuje się zadowolonym ze swej pracy — ona więcej sprawia mu przyjemności.

W fabryce maszyna pracuje, a człowiek staje się zaledwie jej podległem narzędziem lub częściowo tylko pomaga jej w pracy, ale sam całej pracy nie wykonuje. Toteż mechaniczna praca nie zadawala człowieka, i sprzeciwia się naturalnemu pojęciu godności ludzkiej.

Przeciwnie najszczęśliwsi są ludzie, których umysł w zupełności praca pochłania i ci mają to przyjemne uczucie pracy — czują, że praca ich to nie marna jakaś zabawka, ale pożyteczna dla społeczeństwa i owocna działalność.

Praca jest pierwszym i niezbędnym warunkiem do utrzymania harmonijnego zdrowia ciała i ducha. By jednak nie stała się dla nas przykrym ciężarem, musimy pracować z zachowaniem pewnego porządku i podziału w pracy.

Pierwszym krokiem do pokonania pewnej przeszkody, jest poznanie jej. Przeszkodą w pracy jest lenistwo — bardzo ważny czynnik w życiu człowieka. Każdy człowiek jest już z natury leniwy, a to lenistwo do dobrego jest niestety wogóle naszą słabą stroną.

Niema więc ludzi z natury pracowitych, ale są ducha mniej lub więcej ożywionego, w mniejszej lub większej mierze ruchliwi. Ale i najruchliwszy nawet człowiek chętniej zająłby się czem innem, jak pracą w całem tego słowa znaczeniu.

Źródłem pracowitości są pobudki, które można nazwać niższemi, jak: chciwość, skąpstwo, potrzeba utrzymania życia i pobudki wyższe t. j. poczucie obowiązku i miłość pracy bądźto dla samej pracy, bądź też do ludzi, dla których się ją spełnia.

Najskuteczniejszym zaradczym środkiem przeciw lenistwu jest przyzwyczajenie.

Każda tedy cnota, by mogła stać się trwałym nabytkiem człowieka, musi stać się przyzwyczajeniem. A jak łatwo przyzwyczaić się nam do lenistwa, chciwości lub rozrzutności, tak samo musimy przyzwyczaić się i do pracy, a z równomiernym postępem w tym kierunku i opór lenistwa będzie coraz słabszym, wreszcie życie pracowite stanie się naszą potrzebą i koniecznością.

Gdy to człowiek osiągnie, śmiało może sobie powiedzieć, że pokonał znaczną część trudności życiowych.

Ważnym warunkiem w pracy jest umieć zacząć. Mianowicie postanowienie wzięcia się do pewnej pracy i skierowania na nią

całej swej uwagi, jest rzeczą nader trudną. Gdy się jednak rozpoczęło pracę, to cała sprawa sama przez się stała się o wiele łatwiejszą i trudności w znacznej części zostały pokonane. Są jednak ludzie, którym do rozpoczęcia pracy zawsze czegoś brakuje. Tacy nie prędzej zabierają się do niej, dopóki nie zmuszą ich do tego jakie silne czynniki.

Codziennie więc powinniśmy mieć ściśle oznaczony czas, poświęcony pracy, a najlepszą dla nas w tym względzie wskazówką, będzie czynić codziennie tylko to, co nam najbardziej potrzebne na dzisiaj – i nie pracować wyłącznie dla dzisiejszego dnia, lecz część swej pracy zostawić i na jutro, by sił nie brakło.

Skuteczność pracy zależy nietylko od częstej jej zmiany, od rozmaitości, ale i od rzeźkości umysłu i ochoty, z jaką bierzemy się do dzieła. Zacząć można ostatecznie bez ochoty i zamiłowania do samej pracy, bo by się z reguły nigdy nie zaczęło — przeciwnie należy zaprzestać pracować, skoro tylko uczuje się znużenie organizmu.

Niemniej ważnem jest, by módz wiele pracować, co znowu zależy od ilości sił naszych, jakiemi rozporządzamy. Należy je bardzo oszczędzać i nie marnować na nieużyteczne czynności, trudno bowiem sobie wyobrazić, ile chęci, energii i siły do pracy idzie na marne.

Człowiek, chcący wiele pracować, powinien przedewszystkiem unikać wszelkiego bezcelowego zajęcia tak fizycznego jak i umysłowego, a siły swoje gromadzić dla tej pracy, która mu z obowiązku przypadnie do wykonania.

Dopiero po takiej celowej i użytecznej pracy odpoczynek będzie zasłużoną nagrodą.

Tak więc praca, jak widzimy, jest sztuką niemałą, a skuteczność jej zależy od tego, jak my ją sobie potrafimy ułożyć i podzielić

(Z niemieckiego) *R. O.*





Moskwa, Ruś i Polska.

Niemcy, jak wiadomo, dążą do zniemczenia całego świata, jest to ich ideałem narodowym, t. j. dążeniem, które oni uważają za najdoskonalsze i najwznioślejsze. Moskale są nieco skromniejsi w swoich pożądaniach. Rządowy i narodowy ich ideał, ogranicza się na razie do usiłowań, mających na celu zmoskwiczenie narodów, należących do szczepu słowiańskiego. Do ziszczenia ideału tego dąży Moskwa wszelkimi sposobami. Jednym z nich jest nauczanie w szkołach odpowiednio sfabrykowanej historyi jakoteż nauki o narodowościach, czyli etnografii i nadziewanie niemi umysłów polskich, skazanych okolicznościami na czerpanie wiedzy w mętnych źródłach moskiewskiej i niemieckiej nauki. W następstwie takiej nauki powstają wykazy narodów słowiańskich, w których oddziela się możliwie jak najdobitniej Rusinów od Polaków; Polaków zalicza się do Słowian zachodnich, a Rusinów do wschodnich, razem z Moskalami, zwanymi urzędownie Rosyanami. W których dalej twierdzi się, że wszyscy Rusini należą do kościoła wschodniego, to jest schyzmatyckiego, czyli prawosławnego, nie wspominając, że miliony ich w Chełmskiem, na Podlasiu, na Litwie i Białorusi, zmuszono krwawym gwałtem do pozornego przyjęcia tej carskiej religii; w których wreszcie zapomina się, że trzy miliony galicyjskich Rusinów, mogących korzystać z wolności religijnej, wyznaje religię greckokatolicką, należy więc do kościoła katolickiego, a n i e do wschodniego.

Jak nieprawdą jest, żeby wszyscy Rusini należeli do kościoła wschodniego, tak samo jest fałszem, jakoby Rusini najbliżej spokrewnieni byli z Moskalami, z którymi upodobnia ich, z e w n ę t r z n i e jedynie, używanie dawnego, mylnego kalendarza juljańskiego, jakoteż liter ruskich, podobnych do moskiewskich; zresztą oddziela ich wszystko od Mo-

skali, nawet rasa ludzka, Rusini bowiem należą tak samo, jak Polacy do rasy aryjskiej, Moskale zaś do turańskiej.

„Przodownica“ niejednokrotnie zajmowała się stosunkiem Rusinów do Polaków i do Moskali,*) tutaj więc ograniczymy się do krótkiego tylko omówienia tego stosunku.

Gdy praojcowie nasi, zamieszkujący teraźniejsze ziemie polskie, od Odry do Dniepru i od Karpat po Bałtyckie morze, pod naciskiem Niemców zaczęli tworzyć nad Wisłą państwo polskie, w VIII. i IX. wieku po narodzeniu Chrystusa, wschodnia część Polski, w której nad Dnieprem, jak świadczy kijowski kronikarz Nestor, mieszkali Polanie, nie różniący się niczem od nadwiślańskich, wpadła w moc Normandów, przybyłych ze Skandynawii, t. j. z dzisiejszej Szwecyi i Norwegii, którzy podbili tę część Polski, a równocześnie także i kraje położone za Dnieprem, na wschód ku Azyi, zamieszkałe przez szczepy rasy turańskiej, nic wspólnego ze Słowianami niemające.

Najezdnicy ci nazwali się od rzeki Ros, płynącej w Szwecyi, Rusinami i nazwą tą ochrzcili tak słowiańskie, jak i turańskie podbite przez siebie plemiona.

Potomkowie Ruryka, wodza, pod którym pierwsi Normandowie do naszej ziemi przybyli, zamienili się z czasem w książąt, zwanych ruskimi, a panujących nad podbitymi i podzielonymi pomiędzy siebie krajami, po obu stronach Dniepru; z drużyn zaś bojowych, które przybyły z nimi ze Skandynawii, powstała panująca kasta bojarów.

Piastowie, panujący równocześnie w państwie polskiem, w Polsce zachodniej, byli władcami narodowymi, wyszłymi z łona narodu, którym rządzili. Takimi narodowymi królami byli: Mieczysław I., Bolesław Chrobry, Mieczysław II. i ich następcy, aż do Kazimierza Wielkiego. Przeciwnie, książęta ruscy, to najezdnicy, władający podbitym ludem, nie na mocy prawa, lecz dzięki fizycznej przemocy. Takimi najezdnikami byli wielcy książęta kijowscy: Światosław Igorewicz, Jaropełk I., Włodzimierz I., zwany Wielkim, ich następcy i inni mniejsi ruscy książęta, bez względu na to, czy panowali nad Polanami naddnieprskimi, lub innemi nie różniącemi się zresztą od Polan, plemionami słowiańskiemi, czy też nad turańskiemi plemionami: Moskalami, Mordwinami, Merwińcami, Czeremisami i t. p.

Po bitwie przegranej przez książąt ruskich, w r. 1224., przeciw Mongołom, nad rzeką Kałką, wpadły księstwa ruskie w jarzmo mongolskie, a następnie w tatarskie. Tak więc nad ludem, podbitym przez książąt ruskich, podwójna zaciążyła niewola: książęca i tatarska.

Z ciężkiej i hańbiącej tej niewoli oswobodził w r. 1340. Kazimierz Wielki Ruś Czerwoną, dzisiejszą Galicyę wschodnią, która już za Mieczysława I. należała od niepamiętnych czasów do Polski, pod nazwą Grodów Czerwieńskich, a w moc książąt ruskich popadła dopiero podczas rozdziału państwa polskiego na dzielnice.

Resztę Rusi podbił niemal równocześnie książę litewski Gedymin.

Kraje podlegające książętom ruskim za Dnieprem, pozostały wówczas nadal pod zwierzchnictwem tatarskiem. Dopiero znacznie później połączyli je kniaziowie panujący w Moskwie, w jedno księstwo moskiewskie, a następnie, gdy to wzrosło w siły, a tatarska potęga równocześnie podupadła, uzyskali niezawisłość.

Gdy w r. 1386., dzięki poświęceniu królowej Jadwigi, Litwa połączyła się z Polską, kraje ruskie słowiańskie, a właściwie staropolskie, wróciły na łono dawnej polskiej ojczyzny i na sejmach w Horodle w r. 1413., a ostatecznie w Lublinie w r. 1569. połączyły się z Koroną, t. j. ze zachodnią Polską, dobrowolnymi, nierozerwalnymi węzłami, jako wolni z wolnymi i równi z równymi.

*) Patrz między innemi: nr. 9. i 10. „Przodownicy“ z r. 1905., str. 129. Nr. 5. z r. 1906. str. 81., nr. 5. z r. 1908. str. 87., oraz n r. 6. i 7. z tegoż roku str. 104.

Południowa część tych krajów weszła wówczas w skład prowincyi małopolskiej, jako województwa: wołyńskie, podolskie, bracławskie i czernichowskie, północną zaś zaliczono do Litwy, pod nazwą województwa: Nowogrodzkiego, Mińskiego, Mścisławskiego, Witebskiego, Połockiego i Smoleńskiego.

Nie był to żaden zabór, ani podbój, lecz uroczysta unia, uroczyste i dobrowolne zjednoczenie, mocą którego naród litewski, obcy mową i pochodzeniem, łączył się dobrowolnie z Polską, lud ruski zaś, ochrzczony tem mianem przez najezdników, wracał jako swój do swoich, wyzwalał się z niewoli i stawał uczestnikiem polskich swobód i wolności.

Tymczasem wielkie księstwo moskiewskie, wyzwolone w r. 1480., z pod jarzma tatarskiego, pod despotycznymi rządami swoich władców, lekceważone przez Polskę rosło w potęgę, wrogą wolności i narodowi polskiemu. Moskiewski ten kraj nic nie miał w sobie słowiańskiego. Lud jego składał się z plemion turańskich, a kasta bojarów z potomków najezdników, przybyłych ze Skandynawii. Język jedynie, używany przez bojarów, a rozpowszechniający się coraz więcej między ludem, miał cechy słowiańskie, wykształcił się bowiem na serbsko-bułgarskim języku cerkiewnym kościoła wschodniego. Z tego powodu podobnym był zewnętrznie do języków, używanych na Rusi, różnił się jednak od nich zasadniczo, gdyż podstawą jego były języki skandynawskie i turańskie, gdy tymczasem mowy ruskie powstały z języków słowiańskich, a ściślej się wyrażając, ze staropolskiego.

Zresztą sama Moskwa ówczesna nic nie wiedziała o swojej słowiańskości i żadnej do niej nie miała pretensyi. Władcy jej tytułowali się wielkimi kniaziami, później zaś carami moskiewskimi, państwo nazywało się wielkiem kniaźtwem, albo wielkiem księstwem moskiewskiem, a lud moskiewskim narodem. Dopiero z początkiem osiemnastego wieku car Piotr, zwany Wielkim, z powodów politycznych przezwał się carem rosyjskim, a Moskwę Rosyą; Katarzyna II. zaś, chcąc upozorować swoje zabory w Polsce, orzekła, że Moskale są Słowianami, profesorów zaś moskiewskich, uczonych Niemców: Müllera i Schölzera, którzy w dziełach swoich stwierdzili, że to nieprawda, ukarała srogo. Dziś już i tego Moskalom za mało — za mało już im nazywać się Rosyanami — nazywają się russkimi, a zamiast nazwy: rosyjski, każą używać: russki.

Jakkolwiek się nazywają, nie zmienia to ich stosunku do Polaków i do Rusinów. Pamiętajmyż więc, że stosunek Moskwy jest całkiem taki sam względem Rusinów, jak względem Polaków, że jest to stosunek obcych najezdników do uciemiężonego narodu. Pamiętajmy, że Ruś i Rusini są nieodłączną częścią Polski, złączoną z nią nierozerwalnymi węzłami i że polskim obszarem narodowym jest cała przestrzeń dawnej Rzeczypospolitej polskiej, zwiększona śląską dzielnicą. Na całym obszarze, zamkniętym temi granicami, jesteśmy u siebie w domu, jesteśmy gospodarzami i właścicielami, mającymi nie tylko prawo, ale i obowiązek dążenia do odzyskania wydartej im własności.

Inż. E. Śmiałowski.



W PRZESMUTNĄ ROCZNICĘ.

Hej! Czy znacie wy ludzie samotne drożyny
Żłobione w piasku w krzywe wązkie koleiny:
Gdzie zdala świecą mętne, rozlane kałuże,
Gdzie nad rowami kwitną, jasne polne róże?

Gdzie mech zielony rośnie, gdzie liliowe wrzosy
Iskrzą się w złotem słońcu kropelkami rosy.
Gdzie co krok mostek leży środkiem załamany,
Błękitnym niezabudki kwieciem bramowany?

Takiemito drogami raz szczęście chodziło
I do mojej chatynki po drodze wstąpiło.
Jakże strzeliło bujnie życie moje młode
Gdy zaglądnął gość dziwny w mą cichą zagrodę

Jako perlące wino w kubku kryształowym
Jaśniało życie moje odblaskiem tę żywym
I jak ono szumiało, lejąc się za brzegi
— — — — — — — — — —
I tak mijały wartko jasnych dni szeregi.

Lecz raz odeszło szczęście! Tą samą drożyną
Tą samą wąską, biedną smutną koleiną,
Na biednym prostym wozie — śmiertelnie przybrane,
Odeszło szczęście moje, kwieciem przysypane!

Jeszcze mi w sercu jęczą ostre piasku zgrzyty
Od kół wozu. I widzę wyniosłe drzew szczyty,
Chylące dumne czoła w rzewnem pożegnaniu,
Szemrzące pieśń ostatnią mojemu kochaniu.

Widzę słońce czerwone, ogromne wieczorne —
I słyszę jeszcze pieśni pog zebu upiorne —
Dźwięk dwonów jeszcze bije w me serce rozdarte
I widzę ciemnie grobu naoścież rozwarte.
— — — — — — — — — —

I wróciłam samotna w me puste komnaty.
Wszystko jest i kominek i książki i szaty —
I kwiaty stoją w oknach tak, jak wczoraj stały.
Nad nimi buja jakiś motyl jasny — biały.

Wszystko jest — szepcą cicho me zbielałe usta,
Lecz czemuż tu komnata tak straszliwie pusta?
Czemu? a smutne echo cicho mi szeptało:
„Bo już odeszło szczęście, które tu mieszkało".

Jadwiga Szegdziańska.



Dom i szkoła.

Jak przygotować umysł dziecka do nauki szkolnej?

Rozpoczynając naukę szkolną, spotykamy wielką rozmaitość w przygotowaniu, czyli w rozwoju umysłowem dzieci. Jedne patrzą na nas szeroko otwartemi oczyma, nie rozumieją o co pytamy, chociaż mówimy językiem ojczystym, nieśmiałe, zahukane, jeżeli po dłuższej chwili zdobędą się na odpopowiedź n. p. na wymienienie swego imienia i nazwiska, wymawiają je niewyraźnie, sepleniąc i po dziecinnemu przekręcając. Wiele dzieci nazwiska swego nie zna, wywoływane nie ruszają się z miejsca. Inne znowu są „przemądre", wszystko wiedzą, na wszystko chcą odpowiadać, wyrywają się i przeszkadzają, nawet znają już wszystkie litery i umieją je składać, sylabizując b-a-ba, b-a-ba, ba-ba. — Uczył je przecież dziadzio, ma dużo czasu, chciał, aby poszły do szkoły przygotowane. Kłopotu z niemi w szkole nie mniej jak z tamtemi, bo zanim się je zacznie uczyć, trzeba oduczyć tego, co z domu przyniosły, a co w szkole jest tylko zawadą. W klasie złożonej z kilku dziesiątek dzieci, znajdzie się przecież gromadka, z którą łatwo pracować, znajdą się oczka bystro i rozumnie patrzące, znajdą odpowiedzi wypowiedziane wyraźnie, chociaż po dziecinnemu. Jakież powody tych różnic? Oprócz wrodzonych mniejszych i większych zdolności, szybszego lub wolniejszego rozwoju umysłowego, który, jak to wykazałam w poprzednich pogadankach zależy często od zdrowia dziecka, ważnem jest bardzo przygotowanie umysłu do nauki, czyli wychowanie przedszkolne. Jak o zdrowie dziecka troszczyć się trzeba od chwili jego urodzenia, a nawet wcześniej, tak samo i nad rozwojem umysłu pracować należy jeszcze przed jego urodzeniem. Znanym jest powszechnie straszny wpływ pijaństwa na potomków, obliczenia czynione przez lekarzy dowodzą, że dzieci pijaków są najczęściej głupkowate umysł ich tępy z trudnością się rozwija przy najlepszym nawet kierunku, cierpią za winy ojców. Matki przed urodzeniem dziecka i karmiąc je, powinny więc zupełnie wstrzymywać się od używania napojów alkoholowych, jeżeli chcą mieć dzieci zdrowe i zdolne. Alkohol działa źle, szkodliwie przedewszystkiem na nerwy i mózg i przytępia zdolności umysłowe.

Przez zdolności umysłowe rozumiemy łatwość pojmowania, wyuczania się i zapamiętania tego, cośmy widzieli, słyszeli i czegośmy się uczyli.

Jak murarz z drobnych cegiełek wznosi wspaniałą budowę, stosując się do planu artysty, tak powoli powstaje budowa wykształcenia ludzkiego umysłu.

Cegiełkami są obrazy świata zewnętrznego, które nasuwa dziecku całe jego otoczenie, a także podają rozmyślnie według planu wychowawcy i nauczyciele. Robotnicy, którzy znoszą i podają cegły, to zmysły i nerwy. Praca rozpoczyna się wcześnie, niemal od pierwszych chwil życia dziecka. Wiedzą wszystkie matki, że już kilkotygodniowe dziecko zna matkę, mamkę lub niańkę, płacze, gdy głodne, zobaczywszy zaś karmicielkę, śmieje się i wyciąga rączki. Powoli poznaje inne osoby ze swego otoczenia, ogląda się na ojca, gdy wołają „tata", wyciąga rączki do braciszka bawiącego się kolorową piłką, a płacze, gdy ją schowa. Widocznie w umyśle dziecka powstały już obrazy osób i rzeczy, na które patrzyło, które dostrzegło. Oko i połączone z niem nerwy niby latarnia czarnoksięska pochwyciły obraz, a odbicie jego zachowała w umyśle pamięć. Im częściej i dokładniej dziecko na przedmiot patrzyło, tem obraz jest silniejszy, trwalszy, czyli jak mówimy w mowie potocznej, tem lepiej zna i pamięta rzecz lub osobę daną. Podobnie jak zapomocą oka, dostają się do umysłu dziecka wyobrażenia drogą ucha — rozpoznaje dźwięki, naśladuje je, uczy się mówić, śpiewać. Te dwa zmysły, wzrok i słuch, których narządami są oko i ucho, to najpracowitsi robotnicy przy zapełnianiu umysłu ludzkiego, przy budowie wspaniałego gmachu jego wykształcenia. Wiemy wszyscy, jak nieszczęśliwym jest ślepy lub głuchy od urodzenia. Ślepemu oko zastępują końce palców, dotykając nimi przedmiotów, poznaje kształt, czuje czy wielkie są, czy małe, ale czego dotknąć nie może, o tem wyobrażenia nie ma. Głuchy nie słysząc dźwięków, nie może ich naśladować, stąd staje się głucho-niemym. Jemu pomaga oko, patrząc w usta mówiącym, uczy się wymawiać wyrazy głosem tępym, martwym, którego nie słyszy. Czucie, węch i smak doprowadzają razem do umysłu mniejszą ilość wyobrażeń niż oko samo.

Z wyobrażeń tj. obrazów poszczególnych osób i przedmiotów przechowanych pamięcią powstają w umyśle zwolna obrazy nowe, ogólne. I tak: dziecko zna swoją piłkę, widzi jej barwę, jej kształt, wielkość, widzi, że rzucona o ziemię odskakuje. Zobaczy piłkę siostry, później inne u innych dzieci i wnet się nauczy, kulkę odskakującą zwać piłką. Z poszczególnych wyobrażeń, czyli obrazów piłki a., b., c., powstał jeden ogólny: piłka. — Pracowała tu wyobraźnia, ona niby robotnica odrzuciła to, co każda piłka ma szczególnego, więc: wielkość i barwę, a cechy wszystkim wspólne: kształt kulisty i własność odskakiwania połączyła w jeden obraz ogólny, któremu nie odpowiada nic rzeczywistego, czyli utworzyła pojęcie piłki. Wyobrażenia i pojęcia, stanowią bogactwo naszego umysłu, z nich tworzą się sądy i wnioski, a czynność ta zowie się myśleniem. Kiedy dziecko kawałek cukru bierze do buzi, a wypluwa gorzkie lekarstwo, czyni to zrazu mimo woli i wiedzy, cukier jest mu przyjemny, lekarstwo przykre, ale doświadczenie uczy. Wnet też maleństwo do cukru wyciąga rączki, wnet odpycha flaszeczkę apteczną, a usteczka jego wydają pierwsze sądy mówiąc o rzeczach i osobach miłych „caca", o przykrych „be". Człowieczek z przymileniem szepczący „mama, caca, cucu daj" już myśli, już sądzi i wnioskuje. Już wie, że mamę cieszy, gdy ją nazywa caca, i wie, że gdy mama ucieszona daje mu coś dobrego, a cukier dobry, więc, aby dostać „cucu" trzeba mamie powiedzieć: „caca". Tak pracuje mała główka, patrzą ciekawie oczka, natęża się różowo uszko, wyciąga maleństwo rączyny do świata — aby niby pszczółka słodycz do ula, z kwiatów biorąca, z otoczenia swego zbierać skarby dla umysłu. Jak w tej pracy dopomódz maleństwu, jak nią kierować — o tem w następnych pogadankach.

Coby Szanownym czytelnikom wydało się niezrozumiałe, proszę bardzo, niech zwrócą się śmiało i otwarcie z zapytaniem, a odpowiem chętnie, czy to w „Przodownicy", czy listownie. *P. S.*



Pielęgnowanie niemowląt aż do ząbkowania

(Dokończenie).

Przebywanie na swieżem powietrzu jest tak ważną rzeczą dla dzieci, jak pokarm i sen. Jeżeli się dziecię urodziło późną wiosną lub latem, można je już w trzecim tygodniu wynieść na powietrze, omijając miejsca chłodne i jaskrawy blask słoneczny, i nie dłużej jak z początku na godzinę, a przy najmniejszej zmianie temperatury natychmiast powrócić do mieszkania.

Takie powolne przyzwyczajanie dziecka do oddechania świeżem powietrzem, zbawiennie działa na jego rozwój.

Jeżeli jednak dziecko urodziło się w jesieni lub w zimie, natenczas nie należy go narażać na zimno i nie próbować na niem metody hartowania. W drugim roku można je w lekkie mrozy t. j. przy dwóch stopniach mrozu i to w samo południe, wynieść na pół godziny, uważając, aby żadnego wiatru nie było. Za regułę przyjąć należy, aby dziecko od trzeciego do piątego roku nie narażać więcej jak na pięć stopni mrozu i nie dłużej jak na pół godziny, gdyż inaczej dzieci odmrażają sobie policzki i palce. Nie należy dzieci wynosić na powietrze chociażby nawet ciepłym rankiem lub wieczorem, gdyż opada rosa.

Wynosząc niemowlęta na świeże powietrze należy poduszkę okryć jeszcze kołderką lub chustką wełnianą. W czasie upałów główka dziecięcia powinna być lekko okryta batystową chusteczką lub kapelusikiem.

W czasie mrozów lub wilgotnej pory jesiennej trzeba uważać, aby dzieci zawsze miały coś lekkiego na szyi i koszulki na piersiach zapięte, bo bywa to często powodem chrypek, kaszlów lub ropienia płuc. W lecie dzieci już chodzące powinny biegać boso. W zimie zaś należy bardzo uważać, aby nogi były zawsze ciepło ubrane w pończochy i trzewiki. Co do kołysania, to powiemy, że jest to rzeczą zupełnie zbyteczną: dzieci usypiają zupełnie dobrze i bez tego, jeżeli jednak już raz nauczone usypiać przy kołysaniu, to potem już tego żąda, lepiej jednak jest dziecko kołysać, aniżeli przyzwyczajać je usypiać huśtając na ręku, co jest jeszcze więcej męczącem dla matki lub niańki.

Nowo narodzone dzieci śpią bardzo wiele, do snu należy je układać raz na jeden, drugi raz na drugi boczek, ale zawsze tak, aby oczkami były do cienia; snu nie należy im nigdy przerywać, ani też żadnemi środkami sztucznie wywoływać. Jeżeli dziecko pomimo lekkiego kołysania lub wożenia wózkiem usnąć nie może, to nie trzeba go już usypiać, i lepiej jest postarać się zabawić je czemś, aż samo snu zapragnie. Dymu, a nawet zapachu kadzideł w pokoju, gdzie się znajduje dziecko należy unikać, drażnią one mózg, a w silnym stopniu mogą sprawić gorączkę i konwulsyę. Wraz z dziećmi nie powinno się chować żadnych zwierząt, ani psów, ani kotów, ani dawać dzieciom do rączki młodych ptaszków. Ptaszki młode mają na sobie zawsze masę rozmaitego robactwa i przeróżnych chorób, które się dzieciom łatwo udzielają, n. p. u gołębi jest dyfterya prawie że pospolitą chorobą, a przez kotów i psów wieleż to już było przykładów uduszenia i straszliwego pokaleczenia. Pokazujcie im często zwierzęta domowe, oswajajcie je z nimi, pozwólcie im je nawet pogłaskać, ale nigdy nie dajcie bawić się im młodymi ani też nie pozwólcie, aby z nimi spały

Pościel jest bardzo ważną rzeczą. W pierwszym roku życia dziecka najlepszą jest puchowa poduszka. Później zaś, gdy dziecko już nie potrzebuje tyle ciepla, lepszą jest dla niego kołderka. Sienniczek a poduszeczka mogą być napełnione miękkim sianem, przyczem nie powinny być ani zbyt twarde ani zbyt miękkie.

Ponieważ czystość bezwarunkowo jest konieczną dla zdrowia dziecka, potrzeba więc

pościel jego utrzymywać dobrze i często przewietrzać na powietrzu i słońcu, ażeby nie miała odoru. Łóżeczko nie powinno stać ani na przeciągu, ani blizko pieca, gdyż zbytnie gorąco rozpala dziecko i powoduje katary, i inne dolegliwości w pokoju, w którym przebywa dziecko, nie powinno być więcej jak 16°/₀ C., byle tylko zawsze było równo,

Bardzo ważną rzeczą jest dziecko wcześnie do czystości przyzwyczaić. Dlatego też już w czwartym miesiącu życia należy je przy usypianiu i zaraz po przebudzeniu i po kilka razy przez dzień trzymać nad nocniczkiem, dopóki wypróżnienie nie nastąpi, tym sposobem już półroczne dziecko nauczy się porządku, który nietylko zaoszczędza bieliznę i pościel, ale i zdrowiu służy, gdyż leżenie w zanieczyszczonych pieluszkach i pościeli, wcale nie przyczynia się do zdrowia. Gdy dziecię jest już starsze, można je już na nocniczek posadzić, ale trzeba je pod paczkami podtrzymwać, aby nie siedziało całym ciężarem na nocniczku, bo ciałko jeszcze młode prędko się ugniata i boli, co dziecko zniechęca. Drugim powodem zniechęcenia jest zimny nocniczek. Dlatego też nim dziecię na nocniczek sadzamy, to powinien on być wpierw ogrzany, lub okryty starą pieluszką, a dziecko pewnie chętnie na nim usiądzie.

Przeciwnie zaś na zimny, lub z wyciętym brzegiem nocnik dziecko żadną miarą nie usiądzie. Na brzegu nocniczka dobrze jest też zrobić krążek z waty i obszyć płótnem, krążek taki, jest i ciepły i miękki i chętnie dzieci na nim siadają. Dla dzieci starszych powinien nocniczek stać w rogu pokoju, aby dziecko, siedząc na nocniczku, z dwóch stron miało ścianę, gdyż ta chroni od przewrócenia się nocniczka, jeżeli się dziecko poruszy.

Ludmiła Hałacińska.





I babska pomoc coś warta.

Antek był kowalem i to nawet dobrym bardzo był majstrem. Ale niestety pić zaczął.

Z początku pił ino, jak sam mówił, na fantazyę, ale powoli to fantazya weszła mu w nałóg, tak, że się upijał co dzień prawie. Że jednak Antek był ładnym i miłym chłopcem, więc pomimo to, że pił, dziewczęta się do niego wdzięczyły, a swatki miejscowe ciągnęły go do nich. Jak bywało, Antek przy święcie wystroi się w czarną kapotę, wywinie bielusieńki kołnierz od koszuli, podwiąże go niebieskim szalikiem jedwabnym, na głowę wsadzi zamaszystą czapkę rogatą, a w rękę ujmie laskę z jałowcu ślicznie wystruganą i wędruje przez wieś do kościoła, to dziewuchom, córom nawet bogatych gospodarzy, serce aż dudni do niego, ba! nawet ekonomówna ze dworu poszłaby za niego. Ale kiedy Antek do dom wraca wieczorem, to każda głowę odwraca od niego. Bo w Wólce już nie piją, w Wólce prawie wszyscy trzeźwość ślubowali, więc wólczańskie dziewuchy we wstręcie mają pijaków. Już i siostra Antka, zamężna za Sobotą Janem, łajała go za wódkę, a że pił coraz bardziej, zawiozła go nawet do Machajki na Majdan, bo to stara znająca bardzo lekarka.

Machajka, baba siwiuteńka jak gołąb dziki, popatrzyła na Antka, wylała wosku na wodę, pokiwała głową, pokazała Sobocinie na wosku wydęte bąbelki i powiedziała:

— Nie poradziło, nie poradziło same, jego może wylikować ino to — i dała Sobocinie jakąś gałeczkę czy kamyczek, kazała moczyć w wódce i pić przed snem i po śnie. Antek się roześmiał, pocałował siostrę w rękę, Machajce się pokłonił i rzekł:

— Oj nie poradziła, nie; jak mnie ona spolubiła, tak i ja ją. Ja się bez niej nie obejdę, cheba zdechnę od niej. No, ale li-

kować się będę, kiedy tego siostro chceta, żeby was nie martwić.

Wrócili do Wólki i jak się Antek zaczął kurować ową gałeczką, jak zaczął wódkę w której ona mokła, pić przed snem i po śnie, tak się rozpił do reszty. Gruntu połowę przepił, robotę opuszczał i coraz częściej kuźnia bywała zamknięta, a on sypiał pod ławą u żyda w miasteczku. Ładna twarz jego posiniała, miłe siwe oczy przybrały wyraz błędny, a włosy często teraz zabłocone i nieuczesane ukrywały rany w bójkach karczemnych otrzymane. Więc wszyscy od niego stronili, dziewczęta patrzeć na niego nie chciały, a nawet i zawitki swatkom sobie o nim mówić nie dały.

Antek powoli stawał się tak zbydlęconym pijakiem, że już nietylko w karczmie pod ławą zasypiał, ale i w rowie przydrożnym spotkać go było można obdartego i zabłoconego. A w kościele to już go teraz ujrzeć nie było można. A doktór przywieziony raz do Antka, kiedy ten bardzo zachorzał, powiedział do pytających go o chorobę chłopów:

— On jest chory na waryacyę z pijaństwa i umarłby z tego na pewno już, gdyby nie to, że sił ma jeszcze dużo i jest młody.

— Oj szkoda go też, szkoda, taki majster należyty, taki człowiek był dobry — powiedzieli chłopi i rozeszli się do siebie po odjeździe doktora.

Antek chorował długo, a kiedy się wreszcie dźwignął z choroby, zaraz się na pokrzepienie wybrał do karczmy.

Pijanica skończony.

Kiedy Antek po chorobie pierwszy raz szedł do karczmy, z chałupy sołtysa koło której szła droga do miasteczka, wybiegły dwie dziewuchy. Sołtysowa Magda i Jadwiga, cioteczna siostra Magdy, z drugiej wsi dziewucha. Magda, pokazując Jadwidze Antka, zaczęła się z niego jak z pijaka naśmiewać, ale Jadwidze łzy się w oczach zakręciły, kiedy spojrzała w siwe oczy i wybladłą twarz kowala. Czy Antek spostrzegł te łzy w czarnych oczach dziewczyny i zrozumiał, odczuł, że współczucie dla niego je wywołało, dość że jakiś zmieszany pokłonił się dziewuchom i obejrzał się kilka razy za niemi. A kiedy się upił w miasteczku, to mu się ciągle migały w pamięci czarne oczy i śpiewał na całe gardło:

Czarne oczy miała,
Czarnemi patrzała,
Czarnemi urzekła,
Jak na mnie spojrzała.

Jadwiga jeszcze była u ciotki, kiedy Antek powracał z karczmy, usłyszała to jego śpiewanie i serdecznie zapłakała patrząc na niego, ukryta w sadzie za płotem i krzakami. Nazajutrz wróciła z matulą do wsi, ale markotna i zadumana.

I niezadługo uprosiła matulę, żeby jej pozwoliła pójść do ciotki na tydzień pomódz w kopaniu kartofli.

Ile razy teraz Antek szedł do karczmy, Jadwiga stawała u płota i patrzała na niego z żalem. Antek mówił, pochwalony i mijał ją ze spuszczoną głową, a wracając już nie szedł koło sołtysowej chałupy, ale ją okrążał z daleka miedzą przez pole.

Raz Jadwiga odważyła się sama zacząć z nim rozmowę i uczyniła to w ten sposób.

— Antoni, a kaj wy idziecie?

— Do miasta na jarmark.

— A będziecie tędy wracać?

— Ej nie, pewnie wrócę inną drogą.

— A bez cóż to inną wracacie? Ja was, mój Antoni, proszę, wracajcie tędy i wstąpcie do nas, bo ja do was mam jedno proszenie.

— A cóż wy odemnie chcecie?

— Ano chciałabym was prosić, — ale nie — wieczorem wam powiem, tylko aby koniecznie tędy wracajcie, mój Antoni, mój Antosiu złocisty i zapłoniła się dziewucha i uciekła do chałupy, ale jak Antoni poszedł dalej a obejrzał się, to widział, że Jadwiga wyglądała za nim z za drzwi, śmiała się do niego przyjaźnie i kiwała mu główką czarnowłosą.

Zainteresowało go to bardzo i nawet kiedy wstąpił do Szlomy na zwyczajną kropelkę, ciągle mu postać dziewczyny stawała w pamięci, aż spluwał i wydziwiał, że go urzekła. I tym razem jeszcze więcej się upił i zataczając się od rowu do rowu wracał do domu. Ale koło chałupy sołtysa przypomniał sobie znów dziewuchę i chciał do nich wstąpić, ale przy wrotkach się zatoczył i runął jak długi na ziemię i uderzył głową o kołek jakiś czy kamień przy studni, będącej zaraz za wrotami, aż rozciął sobie skórę na czole i krew mu twarz oblała. Ale go to nie roztrzeźwiło. Czuł widać, że mu coś ciepłego płynie po gębie, więc rękami obcierał; krew się zatamowała, ale gębę sobie umazał i wyglądał jak straszydło jakie i tak leżał stękając i zaczął już zasypiać. Aż tu Jadwiga wybiegła na tę chwilę po wodę z konewką, bo ona dziś coraz to wybiegała na drogę i wypatrywała Antka. Teraz wybiegła, spojrzała ku drodze, a nie mogąc nic dojrzeć, zawróciła ku studni i niespodzianie wpadła na leżącego. Przestraszona, na razie odskoczyła w bok, ale po chwili odważyła się podejść i przypatrzeć z blizka leżącej przeszkodzie na drodze swojej. Omało nie krzyknęła, poznawszy że to Antek; chciała lecieć do chałupy wołać na ludzi o pomoc, bo myślała, że on już martwy, wtem on zastękał. Więc jej się żal go zrobiło, pochyliła się nad nim, przyklękła i dopytywać a przemawiać poczęła, wkońcu poszła po ludzi do chałupy. Przyszli jej bracia, młode chłopaki, bo starszych nie było w domu, na jarmark też pojechali; podjęli Antka z ziemi i zaprowadzili do swojej chałupy. A jak go ujrzeli przy świetle, wszyscy śmiechem wybuchnęli, taki był umazany krwią i ziemią błotnistą. Tylko Jadwiś się nie śmiała — zdjęła chusteczkę z głowy, zmaczała ją w wodzie, twarz Antkowi obmyła i włosy mu do porządku przyprowadziła, a potem skłoniła, aby się na ławie spać położył. A kiedy usłyszała, że sołtysowie powrócili, sama do nich wybiegła i prosiła wuja i ciotkę, aby go nie wyrzucali z chałupy, że on jutro, jak się wyśpi, sam sobie pójdzie. I czy to ona umiała się w tej prośbie przypochlebić, czy sołtys był pobłażliwy, bo sam także do kieliszka lubił czasem zajrzeć, dość, że Antek przespał noc w sołtysowej chałupie. Raniutko skoro świt zbudziwszy się, nie mógł zrozumieć co tu robi, aż tu mu chłopak blizko niego śpiący opowiadać począł o wszystkiem a więc i o pomocy i o obmyciu przez Jadwigę. Kowal rozżalił się i zawstydził bardzo, więc chciał chyłkiem wynieść się z chałupy, ale mu na to nie pozwolono, musiał zostać na śniadaniu. Przy misie zebrali się wszyscy, więc jadł i pozierał na Jadwigę, aż wreszcie przerzekł.

— A cóżeś ty odemnie chciała Jadwiś, jak szedłem na jarmark, co miałaś mi później rzec.

— Hale com chciała, toście nie zabaczyli żem co chciała, to trza było przyjść inaczej, nie tak, jak wyście przyszli i zapytać tobyście wiedzieli.

— No to mi powiedz teraz, bo chciałbym ci się wywdzięczyć za ono ratowanie i mycie.

— A zrobicie, zrobicie, to wam powiem ale tam na podwórzu, bo się tu będą i ciotka i wuj i te zbereźniki chłopaki śmiali; położyła łyżkę i wyszła.

Antoni podziękował za nocleg i śniadanie i poszedł za Jadwigą.

Na podwórzu przy płocie ona stała z gracą w ręku ale jakaś nieśmiała i zakłopotana.

— Cóż ty chcesz dziewczyno odemnie — zapytał kowal.

— A to żebyście mi lepszą gracę zrobili i wprędce mi ją przynieśli.

— O joj tylko tyle?

— A zrobicie jeszcze co więcej, zrobicie — powiedziała z przymileniem dziewczyna.

— Zrobię, bo tak do mnie mówicie, jak chyba tylko nieboszczka matuś do mnie mówiła.

— A wtedy Jadwiś powiedziała cicho, wstydliwie:

— Antoni, nie pijcie już wódki to, to ja się za was wydam — i uciekła do chałupy

Antoni długo stał i namyślał się zdumiony słowami temi. I strach go brał i lęk jakiś i radość i wstyd — chciał wrócić do chałupy sołtysa, ale nie było po co, bo wszyscy już koło niego przeszli i udali się w pole do kopania kartofli. Wyszedł na drogę i tam namyślał się długo, gdzie pójść, czy do domu, czy znów wrócić do miasta. Jadwisia widać patrzyła na niego z pola i chciała mu przyjść w pomoc, bo przybiegła niby po wodę się zamówiwszy. On jej wody wyciągnął, nabrał w konewkę, napił się i spytał.

— Ale czy ty naprawdę wydałabyś się za mnie?

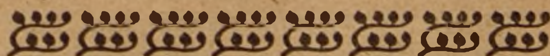
— Hale, a naprawdę tylko już nie pijta, wyrzeknijta się i nie w mieście a w kuźni siedźta. Mój Antoni złocisty, weźta se Boga i Matkę Boską na pomoc i nie pijta, zobaczycie jak nam będzie dobrze.

I wyprowadziła go na drogę i poczekała, aż poszedł ku chałupie swojej. Wieczór przyleciała siostra Antka Sobocina do sołtysów i zaczęła się dopytywać, czy to wszystko, co Antek o pomocy Jadwigi i o jej obietnicy wyjścia za niego opowiadał, prawdą jest. Sołtysowa niebardzo temu przytwierdzała i nie bardzo rada temu była, bo dziewczyna i wiano miała dostatnie i młoda i urodziwa, więc cóż jej za potrzeba iść za pijaka chociażby i za dobrego rzemieślnika. Ale Sobocina chciała o tem wszystkiem dowiedzieć się od dziewczyny, przywołała ją więc sołtysowa i nuż pytać i odradzać odrazu. Aż tu dziewczyna powiada stanowczo że ona gotowa pójść za Antka, bo on się jej spodobał i już, tylko trza, żeby nie pił, żeby się wyprzysiągł. Sobocina rada wróciła do brata, a sołtysowa nazajutrz zaraz wyprawiła dziewuchę z powrotem do matki myśląc, że jej ona najlepiej odradzi takie małżeństwo. Ale daremnie odradzali ludzie, bronili rodzice i straszyli złą dolą. Dziewczyna mówiła: pójdę i pójdę. Antek przysłał swaty: przyjęła, przychodził i patrzył w dziewczynę jak w święty obrazek i jak raz, kiedy mu się skóra rozcięta na gębie, wtedy przy wrotach, zagoiła, poszedł z Jadwigą do przedślubnej spowiedzi i w kościele przy mszy zakupionej na intencyę wytrwania w dobrem postanowieniu, wyprzysiągł się picia wódki i wszelkich trunków. I wytrwał. — Ludzie nieraz kusili i drwili nawet z niego, że baba babą a wódka wódką, wytrwał, pomimo, że mu Szloma w sekrecie przed Antkową przysłał raz butelkę pieprzówki w podarunku. Antek poszedł do miasta z żoną i przyniesioną z sobą wódkę rozbił o kamień przed sienią szynku Szlomy i powiedział:

— A pamiętaj se Szloma, jakbyś mnie jeszcze chciał kusić, to ci tak łeb jak tą flaszkę rozbiję. Dziś Antek jest już siwy, ma kilkoro dzieci, grunt dokupiony od dworu, kuźnię porządną i znaną w okolicy i konie i krowy i ład i porządek w chałupie i obejściu. Kowalka posiwiała krząta się wszędzie jak fryga i śmieje się, jak mąż powiada ludziom chwalącym jego pracowitość i gospodarność:

– Wszystko to, powiadam wam, fraszka było posłuchać młodej i ładnej dziewuchy, ale dać się za łeb trzymać takiej starusze, co mi tak to to zbrzydło, to ci powiadam ciekawa rzecz.

Obrazek ten mili czytelnicy opowiadam wam z życia. Antka i Jadwigę znałam i to wtedy, kiedy on jeszcze pił i potem i patrzyłam na tę szczęśliwą zmianę, na poczciwą pomoc i opiekę Jadwigi nad wybranym sobie mężem. *Klementyna Mikulińska.*



Kilka rad doświadczonych.

Wiem, że są w tej chwili różne młode gospodynie głęboko zamyślone o nadchodzących świętach. Przecież trzeba urządzić wigilię – niejedna pierwszy raz w życiu będzie w tem położeniu — możeby moja

rada była im pomocą w tych niepewnościach, coby tu wybrać i jak zrobić — aby było jako tako. Myślę tu naturalnie o stołach bardzo skromnych, bo do wymyślnych mojej rady nie trzeba, – są na to kucharze i mnóstwo ludzi, którzy myślą nad tem. – Ja myślę o potrawach zwykłych — a które przecież trzeba umieć przyrządzić, aby były dobre i smaczne. Wiele osób lubi na wigilię barszcz czerwony, postny, a więc naprzód o nim powiem. Barszcz powinien być zawsze w domu ukwaszony z ćwikłowych buraków — bo taki i najsmaczniejszy i mamy tę pewność, że jest czysty.

Otóż trzeba naprzód nastawić w kamiennym garnku różne jarzyny: marchew, pietruszkę, cebulę, selery; (wszystko czysto obrane i wypłukane). Nalane zimną wodą, niech się gotują do miękkości. Dodać można ze dwa czyste, małe, suszone grzybki, a także trzeba włożyć do tych jarzyn jeden burak ćwikłowy drobniutko w paski pokrajany. Gdy już wszystko zmięknie, dolewa się wtedy do tego kwaśnego burakowego barszczu ostrożnie, aby nie przekwasić — tylko kosztować parę razy, aby był w miarę kwaśny. Posolić i niech razem z jarzynami dobrze zakipi. Wtedy odstawić na bok— przecedzić odwar w inny garnek kamienny — postawić na kuchnię, aby zakipiało i rzucać na ten kipiątek malutkie uszka ze śledzia albo grzybków zrobione. — Naturalnie, że się wtedy uszka wrzuca do gotowania, gdy już się ma wkrótce zaczynać kolacya — bo gdyby zadługo leżały w barszczu — toby były niesmaczne, bo rozlazłe.

Aby barszcz miał ładny kolor czerwony — trzeba go na wydaniu przelać przez sitko, w którem jest utarty na tarku surowy burak ćwikłowy. Kolor barszczu będzie wtedy bardzo ładny. Do barszczu można dodać — kto lubi — te gotowane buraczki krajane — i konieczną jest drobniutka biała — osobno w słonej wodzie ugotowana na miękko fasolka tak zwana perłowa. — To też przy nastawianiu barszczu trzeba zaraz i o tem pomyśleć, aby fasolkę nastawić — bo ona się długo gotuje.

Uszka śledziowe do barszczu. Kawałek śledzia — bardzo dobrze wymoczonego przez dwa dni — posiekać drobniutko. Usmażyć cebulkę w łyżce masła i włożyć w to usiekane mięso ze śledzia — wymieszać – popieprzyć trochę i dodać kawałek bułki wymoczonej i wyciśniętej dobrze z wody. Razem to wszystko jaknajdokładniej wymieszać i nakładać tą masą malutkie kwadraciki roztaczanego ciasta — ulepiać jak pierogi, a potem końce stulać razem, aby wyglądały te pierożki jak małe uszka. Ciasto trzeba zamięsić jajkiem jednem – taczać cienko i robić zaraz uszka, aby ciasto nie wyschło.

Można zamiast śledzia — dać siekanych ugotowanych grzybków, a zresztą wszystko robić tak samo. — Im mniejsze uszka, tem ładniejsze.

Gołąbki postne na wigilię. Nie we wszystkich okolicach znaną jest ta bardzo zdrowa i smaczna potrawa. Niektórzy lubią ją bardzo, ale nie umieją robić. Widziałam w okolicy Krakowa robione gołąbki i każdy nitką owiązany, aby się nie rozleciał. A to nie trzeba całkiem owiązywania — one się i tak doskonale trzymają. — Robią się tak: Kwaszone główki kapusty wydobywa się z beczki — wycina się z nich tyle liści, ile się da — przygotowuje się ich tyle — ile się uważa, że będzie potrzeba — ścina się z każdego liścia nerw gruby i środkowy — aby liść cały był miękki a nie podziurawiony. Liście te złożyć w jaką dużą miskę i sparzyć je kipiącą wodą, aby zmiękły. — Do innej miski wsypać $^1/_4$ kg ryżu – sparzyć kipiątkiem, odlać wodę doskonale — usmarzyć cebulki z masłem, wlać w ryż — posolić — popieprzyć i dodać 5 dkg ugotowanych i posiekanych drobniutko grzybków. Wymieszać wszystko dobrze i nadziewać tym ryżem z grzybkami każdy listek kapusty w ten sposób — że się rozpościera w ręku liść— kładzie się w poprzek niego w zagłębieniu

łyżkę ryżu i zawija potem dość ciasno cały listek, aż się utworzy rodzaj długiego cygara. Garnek duży, najlepiej kamienny — wyłożyć na spodzie listkami z kapusty i układać w nim kolejno zrobione gołąbki — do więcej jak połowy garnka. Okryć z wierzchu znowu liśćmi wypłukanemi — zalać wodą zimną — posolić i postawić na kuchni, aby zakipiały. Gdy zakipią — włożyć je do rury, pod nakryciem — aby się dobrze wygotowały. Próbować czy gotowe liście i ryż, gdy już miękkie, wynieść z garnkiem do spiżarni. Gdy wystygną — włożyć do rynki obszernej dobrą ilość masła — a na nie narzucać gołąbków, ile uważamy, że potrzeba — na wierzch znowu masła i postawić z boku na kuchni, aby się powoli rozgrzewały, a nie przypaliły. Gdy się na stół podaje, trzeba je ubrać cebulką przysmażoną w maśle. Takie same gołąbki robią się zamiast ryżu — z jagieł — ale wtedy nie trzeba grzybków.

Gołąbki z mięsem. Tak samo wszystko się przyrządza jak w tamtych, tylko zamiast grzybków daje się $^1/_4$ kg ryżu, $^1/_2$ kg mięsa wieprzowego świeżego — tłustego w drobniutką kostkę pokrajanego. — Po ugotowaniu, gdy wystygną — włożyć do rynki kawał masła — nałożyć gołąbków i zalać je pół kwartą dobrej gęstej kwaśnej śmietany. Postawić na kuchnię — aby się sos wysadził i podać na stół. Jest to doskonała potrawa — tem bardziej, że ugotować można odrazu dużo — a potem potrochę w miarę potrzeby brać do przygrzewania.

Kutia. Niekażdy zna się osobiście z tą potrawą, chociaż ona właściwie jedna utrzymała się do dziś u nas od prastarych czasów — kiedy to była symbolem urodzajności i kiedy kraj nasz doprawdy opływał mlekiem i miodem. Do tej potrawy potrzebną jest pszenica w stępie tak jak pęcak otłuczona, aby z niej zwierzchnia łuska odeszła. Po wysianiu i przebraniu starannem, nastawić pszenicę w bardzo dużym garnku albo baniaku — n. p. na dwie kwarty pszenicy trzeba garncowego baniaka, nalać zimną wodą i gotować mieszając często, aby się nie przypaliła lub nie przydymiła, bo wtedy na nicby była. Troszkę trzeba ją posolić, a gdy się już długo gotuje i zacznie rozklejać t. j. ziarna zaczną się rozgotowywać i będzie miękkie, odstawić do chłodnej spiżarni, aby całkiem wystygła. Utrzeć w donicy sparzonego (pół kwarty na dwie kwarty pszenicy) maku, gdy zupełnie mak utarty (naturalnie z wody naprzód odlany) rozpuszczać go pomału miodem, aby był bardzo słodki i kłaść w to potrochu ugotowaną pszenicę. Mieszać dokładnie i kosztować — ma to być bardzo słodkie. Gdy mało miodu, jeszcze dodać — gdy bardzo gęste można trochę wodą podpuścić, ale bardzo mało, ledwie pół szklanki można wlać.

Wymieszać dobrze, włożyć do salaterki, ubrać po wierzchu połówkami orzechów włoskich i podać na stół. Cała rzecz w tem, aby pszenica była w miarę ugotowana — mak dobrze utarty — miodu dużo i potrawa całkiem zimna. Dwie kwarty pszenicy to ilość bardzo duża — obliczona na czeladź domową. Dla małego kółka i pół kwarty wystarczy. Resztkę pozostałą trzeba schować na zimno, bo łatwo w cieple kwaśnieje.

Ryby morskie rozpowszechniły się u nas bardzo tak, że nawet w małych miasteczkach można je zimową porą dostać i to po cenie znacznie niższej aniżeli nasze stawowe lub rzeczne. Ryby morskie są w smaku wcale dobre, niektóre z nich są nawet bardzo dobre, ale sprawiając je, trzeba zachować następujące reguły. Głównym warunkiem przyrządzania ryb morskich jest, aby takowe nie były w wodzie wcale zmaczane, tylko ażeby po starannem oczyszczeniu należycie lecz szybko opłukane zostały. Najpierw należy ryby oczyścić z wnętrzności, błonek i czarnej plewki wewnątrz, następnie oskrobać z łuski i stosownie, ale szybko obmyć w świeżej wodzie, przyczem szczególniejszą uwagę zwrócić należy na głowę, pyszczek

i skrzela. Czerwone skrzela można zupełnie odrzucić, a do czyszczenia ze szlamu morskiego głowy i pyszczka, posłużyć się odpowiednią szczoteczką. Wszystkie ryby morskie nastawia się do gotowania w letniej, należycie osolonej wodzie i rozgrzewa ją wolno aż do zakipienia; poczem odsuwa się garnek na kraj blachy, aby naciągły soczystości i smaku, ale już nie wrzały.

Inny również polecenia godny sposób gotowania jest, aby osoloną wodę wraz z jarzynkami i korzeniami przez pół godziny gotować, a potem dopiero do tak przyrządzonego smaku wkładać rybę do gotowania. Wreszcie dla osób, którym może być niemiłym przysmak ryby morskiej, poleca się dwukrotne użycie wody, a mianowicie: nastawiwszy ryby w solonej wodzie do należytego rozgrzania, odlewa się takową zupełnie, a rybę zalewa się inną osoloną gorącą wodą, w której się aż do zakipienia rozgotowuje. W ten sposób odbiera się posmak morski, a ryba smakuje jak rzeczna. Do gotowania używa się nie wysokiego garnka, ale raczej szerokiej rynki. Ryba powinna być zupełnie pokryta wodą i wkłada się jej tyle, aby przynajmniej na 3 palce pozostało wolnego miejsca do pełności rynki. Oznaką, że ryba została należycie ugotowaną jest, gdy oczy wysterczą, lub pletwy dadzą się z łatwością wyciągać.

Do opiekania nadaje się najbardziej część od ogona, zaś smażenia, pieczenia i kotleciki, kawałki środkowe, wreszcie głowa z małym odkrawkiem mięsa, może służyć do sporządzania rosołu, a raczej zupy rybnej z dodaniem jarzyn, która może również być użytą jako smak do sosu.

Resztki ryb należy przechować w naczyniu porcelanowem szklannem, lub kamiennem nigdy w metalowem, ponadto w celu uchronienia takowych od wyschnięcia, nakryć talerzem, albo lnianą i w rybnym smaku umaczaną i dobrze wykręconą serwetką.

Wszystkie ryby morskie można przyrządzać w ten sam sposób jak ryby rzeczne.

Do gotowania nadają się: łupacz, kablion, szczupak, łosoś, wątłusz, ostrygowiec i flonderka. Sztuki mniejsze, ważące do 1-go klg., można gotować w całości, zaś większe trzeba pokrajać na dzwona. Gotować należy, licząc od zawrzenia, 10—15 minut. Ugotowaną jeszcze zupełnie gorącą rybę układa się na ogrzanej misce lub półmisku i polewa takową roztopionem masłem, podprawionem siekaną, zieloną pietruszką, można także polać sosem chrzanowym, musztardowym i t. p.

Morskie ryby opiekane. Wszystkie ryby morskie nadają się do opiekania. Po należytem oczyszczeniu i pokrajaniu w dzwona, należy takowe posypać solą i tak w soli pozostawić najmniej przez pół godziny flonderki i sole, dobrze jest równocześnie z nasoleniem skropić sokiem cytrynowym albo octem, przez co mięso się ściągnie i będzie jędrniejsze. Następnie osusza się rybę, obcierając takową czystą serwetą, obtacza naprzód w mące, potem w jaju i tartej bułce i wrzuca się w bardzo gorący tłuszcz, który ma rybę zupełnie pokrywać, aż do należytego upieczenia.

Ryby smażone. Oczyszczone i posolone ryby obciera się w serwetkę po półgodzinnym odleżeniu, obsypuje mąką z małym dodatkiem papryki i smarzy na niewielkiej ilości masła lub tłuszczu na jasno-brunatny kolor z obydwóch stron.

Sałata z ryb. Z pozostałych resztek ryb, można sporządzać znakomite sałaty. Z ugotowanej ryby wybiera się starannie ości i drobi się takową w piórka, posysypuje troszeczkę mielonym pieprzem i potem octem i oliwą, dodaje się ugotowane żółtko lub musztardy wedle gustu.

Mały szczupak opiekany w papierze. Po oczyszczeniu ryby, należy takową lekko ponakrawać i dobrze nasolić, skropić sokiem cytrynowym lub octem i tak pozostawić przez pół godziny. Po wyjęciu z marynaty trochę popieprzyć takowe zewnątrz i wewnątrz, a zawinąwszy w papier perga-

minowy wysmarowany masłem, ustawić na blasze do rury kuchennej i starannie opiekać przez pół godziny. Sos można zrobić dowolny. *L. Hałacińska.*

Ciastka kruche. Ćwierć funta niesolonego masła, 3 łyżki dobrej śmietany zagnieść z mąką pszenną (peszteńską), tak gęsto, jak zwykle na kruche ciasto, poczem cieniutko rozwałkować, położyć na blachę wyłożoną papierem (bez smarowania go) i pokrajać w ukośne kawałki długie na palec; ciasto to posmarować jajkiem i posypać grubo cukrem i piec w niezbyt gorącym piecu.

Ciasto maślane. $^1/_2$ klg. mąki, $^1/_4$ klg. wypłukanego w zimnej wodzie masła, tak aby stężało: 2 jaja, kilka łyżek wody. Dobrze razem wyrobić, ale nie zbyt twardo rozwałkować, złożyć na czworo jak kopertę, znowu rozwałkować i to powtórzyć trzy razy: zostawić ciasto złożone na 10 minut, a biorąc do użytku rozwałkować cienko, nakładać makiem lub powidłami i zwijać. Posmarować jajkiem, posypać grubym cukrem i wstawić w piec. Jeżeli przed pieczeniem nie były posypane cukrem, w takim razie natychmiast po wyjęciu posypać cukrem.

L. H.



ROZMAITOŚCI.

Straszna tragedya na tle rosyjskich stosunków szkolnych. Cała Odessa jest wzburzona niezwykłem wydarzeniem zabójstwa, podpalenia i samobójstwa, dokonanego przez cieszącego się niezwykłą sympatyą znakomitego pedagoga, nazwiskiem Otto. Był on od lat 30 kierownikiem 6-klasowej szkoły, którą pracą swoją i ofiarnością postawił na najwyższym szczeblu. Wprowadził tam kursy telegraficzne, mechaniczne, rysunkowe, języków nowożytnych. Pragnął, żeby każdy uczeń kończący ów zakład miał wykształcenie, ułatwiające mu zdobycie fachu. Tworzył przy szkole pracownie, zbierał okazy muzealne, zorganizował bibliotekę. Nawet na własne ryzyko zaciągnął pożyczkę na budowę nowego gmachu. Słowem z całą miłością i zaparciem się oddany był „swojej“ szkole. Nagle po 30 latach miał skutkiem intryg i donosów zostać z niej wyrzuconym, co więcej, miał widzieć jej upadek, gdyż następcą jego mianowano człowieka nieodpowiedniego, zdaje się, że właśnie intryganta, który się podkopał pod jego tyloletnią budowę...

W rozpaczy Otto przy oddawaniu wszelkich aktów i ruchomości swemu następcy zastrzelił go z rewolweru, poczem podpalił gmach i sam odebrał sobie życie.

Na pogrzebie nieszczęśliwej ofiary rosyjskich stosunków szkolnych, depcących prawdziwą zasługę, a protegujących tylko kreatury rządowe, zebrały się tłumy, na trumnie złożono szeregi wieńców, a jeden z przyjaciół powiedział: „Był on silnym jak dąb. Nie złamała go burza, ani piorun go strzaskał. Nędzny robak go stoczył jak złodziej, tajemnie zakradł się, podkopał i po kilkoletniej pracy zwalił go obecnie. Zmarły mówił, że nie odda szkoły, że jego z tej szkoły wyniosą jako zmarłego — i tak się stało. Nawet po śmierci szykanują zmarłego — uczniom nie pozwolono przyjść na cmentarz!

Z małych przyczyn wielkie skutki.

Przypominam sobie, że będąc raz na wsi, byłam świadkiem, jak mała niedbałość znaczne straty spowodowała w pewnem gospodarstwie.

U jednej rodziny, przy wrotach prowadzących z podwórza w pole, brakło zasówki; każdy idąc przez nie, przyciągał je, ale zamknąć nie mógł; wrota więc były tylko przymknięte. Tym sposobem dużo sztuk z inwentarza przepadło, przecisnąwszy się przez niedomknięcie.

Pewnego razu, uciekł w ten sposób młody, piękny wieprz i skrył się aż w lesie. Cała

więc służba pędziła chwytać zbiega. Ogrodnik, kucharka i dziewka stajenna, każde z osobna, pobiegło przez pole i szukać zaczęto po lesie zbłąkanego zwierza. Ogrodnik pierwszy ujrzał go, ale chcąc mu zabiedz drogę, wpadł w głęboki, niewidoczny dół i doznał ciężkiego potłuczenia, przez co musiał potem leżeć w łóżku przez półczwarta tygodnia. Kucharka wróciwszy do domu, zastała przypaloną od ognia bieliznę, którą dla wysuszenia powiesiła blizko pieca i na czas jej nie zdjęła — a dziewka, która wybiegła pospiesznie ze stajni, nie przywiązawszy bydła, zobaczyła, iż przez ten czas, jedna z krów przebiła rogiem bok źrebięciu, które stało w tej samej stajni. Strata z powodu opuszczonych dni pracy ogrodnika wyniosła około 60 koron; tyleż było straty na uszkodzonej bieliźnie i skaleczonem źrebięciu, tak więc w ciągu paru godzin, wskutek braku taniej zasówki u wrót, gospodarstwo poniosło uszczerbek na 120 K. już nie mówiąc o cierpieniu, powstałem z potłuczenia, o niepokoju i innych przykrościach, połączonych z tym wypadkiem.

Jakkolwiek nie były to straty ogromne, jednak ponieważ prawie codzień zdarzały się podobne przygody, nie można się dziwić, iż uczciwa ta, ale niedbała i nieprzezorna rodzina przyszła po niejakim czasie do majątkowego upadku.

Na czarną godzinę. Nagłych i nieprzewidzianych wypadków w życiu każdego człowieka jest wiele. Najlepszem zabezpieczeniem na takie chwile czarne jest przezorność w chwilach szczęścia, zdrowia, sił cielesnych i duchowych. A zatem niech oszczędza zawsze kto zarabia więcej – więcej, kto zarabia mniej – mniej. Ale oszczędzać trzeba w każdym razie, chociaż po groszu, tego żąda od nas zdrowy rozsądek.

Nasze społeczeństwo postępuje wprawdzie na tej rozsądnej drodze do tego osobistego i narodowego dobrobytu, ale postępuje bezwarunkowo za pomału. Przyczyny tego trzeba szukać w tem, że hołdujemy z małymi tylko wyjątkami zasadzie: zastawić się, ale postawić się. W potocznej mowie znaczy to: Wolimy często poskąpić grosza na cele konieczne, ale często pokazujemy się hucznie przy różnych sposobnościach, strojąc się i występując nad stan nasz. Odmawiając sobie niejednej niepotrzebnej pstrej wstążki, niejednego szkodliwego papierosika, niejednej nadmiernej szklanki piwa, wina i t. p. moglibyśmy w łatwy sposób, mianowicie w młodości, z czasem złożyć pokaźną sumkę, którąby nam oszczędziła niejednego kłopotu, niejednego bólu głowy.

Sposoby oszczędzania są różne. Najlepszym z nich jest niewątpliwie odkładanie stałe jakiejś pewnej, określonej cząstki swych dochodów, swego zarobku, tygodniowego, miesięcznego lub rocznego. Wszystkie inne sposoby są zbyt niepewne, zbyt łatwo tam wymyślić wymówki, usprawiedliwiające rzekomo odpychanie terminu lub zniżanie sumy, jaką możnaby oszczędzić. Wszystkie inne sposoby są znaną, gnuśną i leniwą, do bankructwa prowadzącą, polityką „jutra“.

Stałe zaś odkładanie pewnej części zarobku prowadzi napewno do celu, prędzej czy później. Kto naprzykład postanowi mocno odłożyć co sobotę 50 centów, ten wie, że w miesiącu oszczędzi przeszło 2 złr. a w roku blisko 30 złr. A jaką to jeszcze postronnie ma wartość moralną! Oszczędzając regularnie kilka groszy, wartość człowieka z dnia na dzień rośnie, rośnie w człowieku samym pewna nienaganna duma podnosząca człowieka na coraz wyższe szczeble moralności.

Dalej, bardzo dobrze jest wytknąć sobie jakiś cel. Można więc oszczędzać na dzieci, na własne ognisko domowe, na przypadek choroby, na starość, na biblioteczkę, na cele narodowe i t. d.

Takie wytknięcie celu jest wprost koniecznem, mianowicie wobec dzieci, które trzeba i można już od najmłodszych lat uczyć oszczędności. Dzieciom można zalecać oszczędzanie pieniędzy na dzień pierwszej komunii

świętej, na naukę, na ożenek, na podarki dla rodziców, rodzeństwa i t. d. Dzieci powinny dalej oszczędzać ze swojej własności. Na nic się nie zda dać dziecku pieniądze, by je zaniosło do kasy oszczędności. Taki powierzchowny mechanizm na nic się nie zda. Trzaba dziecku dać sposobność do zarobienia grosza i zarazem nieznacznie wpływać na nie, by pieniędzy nie wydawało na byle co, lecz schowało na ten i ów cel (wymienić go).

Pewien bogaty Amerykanin powiedział: dzieci majętnych rodziców po części są zacofane, wnuki zwyrodniałe. Dlaczego? Bo dostają do ręki pieniądz, zarobiony bez trudu, pieniądz, do którego używania nie dorosły.

O pijaku, co go psy zdusiły.

Bartłomiej Połykała
Pił dzień cały bez mała,
Aż mu gęba zsiniała.

Dobytek wciąż marnieje
Na roli źle się dzieje
Z radości czart się śmieje.

On w karczmie przesiaduje
Rodzinę swą marnuje,
U Mośka się fantuje.

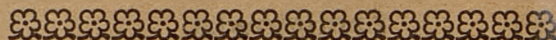
Jak z kamienia ma nogi,
Sen go ima się błogi
A do domu szmat drogi.

Idzie z zimna wybladły,
Aż tu psy go opadły,
Ród haniebnie zajadły.

Trunki go osłabiły,
Bronić nie miał się siły,
Na śmierć go psy zdusiły!

Oto pijaństwa skutki.
Z historyi morał krótki:
Nie pijcie ludzie wódki!

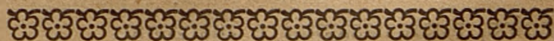




Sprostowanie.

W 11. numerze „Przodownicy“, z listopada r. b., w artykule: „Polska i jej granice“, zaszło kilkanaście omyłek drukarskich, a mianowicie:

Na str. 198., w drugiej kolumnie, oraz w pierwszej kolumnie strony 199., wszędzie gdzie wydrukowano Toniza, albo Stefan Toniza, czytaj Tomża, względnie Stefan Tomża, na str. 199., w pierwszej kolumnie, w wierszu ósmym od dołu zamiast pod Orszą, a Ułą, czytaj pomiędzy Orszą a Ułą.



AFORYZMY.

Lepiej jest dać niż brać, szczególnie gdy chodzi o pracę.

*

Rzecz szczególna: Wszyscy mają swoich biednych, ale biedni nie mają nikogo.

*

Tysiąc rozkoszy nie warte jednego cierpienia

*

Starość jest dziwną chorobą: pielęgnujemy ją, aby trwała jak najdłużej.

*

Niejeden wygrzewa się z lubością w cieniu sławnych ludzi.

*

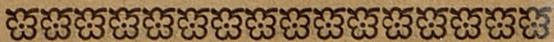
Doświadczenie przyświeca ludziom jak gwiazdy, tylko późnym wieczorem.

*

Krajem jest łatwiej rządzić niż kobietą.

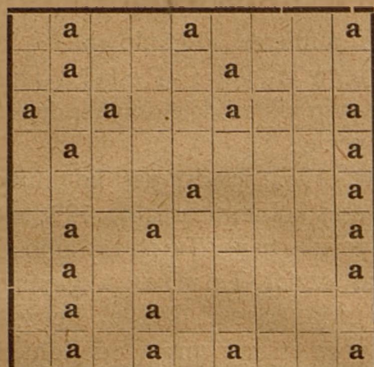
*

Genialni ludzie nie mają przyjaciół, na wyżynach panuje zazwyczaj samotność.



Łamigłówka.

Uł. R. O.



	a			a				a
	a				a			
a		a			a			a
	a							a
				a				a
	a		a					a
	a							a
	a		a					
	a		a		a			a

Puste kwadraciki wypełnić spółgłoskami tak, aby powstałe stąd wyrazy, czytane poziomo, miały następujące znaczenie:

1. Utwór poetyczny Słowackiego.
2. Najwyższa godność urzędnika w dawnej Polsce.
3. Imię żeńskie.
4. Gatunek paproci.
5. Kraj nadmorski, należący niegdyś do Polski.
6. Carowa, znana z dziejów Polski.
7. Ptak.
8. Gatunek jarzyn.
9. Choroba oczu.

Łamigłówka historyczna.

Uł. R. O.



			a	a	a	a			
		a	a	ą	b	c	c		
	a	e	e	e	h	i	i	j	
j	k	k	k	k	k	k	ł	ł	m
m	n	n	n	n	ń	o	o	o	o
	o	o	o	r	r	r	s	s	
		ś	t	t	u	v	w		
			z	z	z	y			

Z umieszczonych w kwadracikach liter ułożyć ośm wyrazów w kierunku poziomym.

Znaczenie wyrazów.

1. Przewrotna królowa polska.
2. Ks., który sprowadził Krzyżaków do Polski.
3. Jeden z twórców Konstytucyi 3 Maja.
4. Znany bohater narodowy.
5. Przydomek króla Władysława III.
6. Sławny hetman polski.
7. Król polski.
7. Prawo, będące przyczyną wielu nieszczęść w dawnej Polsce.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. – Druk A. Rippera, Kraków



DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY

DO NR. 12 „PRZODOWNICY“ ZA GRUDZIEŃ 1909 ROKU

BYWALEC.

(Ciąg dalszy).

Wypędzić!...

Nie wygrał Prusak wtedy z kupowaniem ziemi. Więc rozzłoszczony woła okropnym rozkazem:

— Wypędzić z ziemi polskiej tych Polaków, co tu mieszkają, a ziemi swej tu nie mają...

Okropna rozpoczęła się wojna... Dzieci! moje dzieci... gdybyście wy wiedziały, co się wtedy działo...

Wpadali żandarmi do domów, do chat, wyciągali dzieci z kołyski, z łóżeczek, matkom kazali się zrywać, ojców pędzili bez wytchnienia. — Idźcie! idźcie!... Polacy stąd idźcie!... wy nie tutejsi!...

Ten prosi, iżby mu było wolno zaczekać, chory jest, tamten prosi, by mu było wolno spakować rzeczy, tam babka, staruszka siwa powiada:

— Przyjechałam do córki, pojadę, tylko mi pozwólcie zostać parę dni...

Ale Prusak nie pozwala, nie słucha... pędzi gna, katuje, idźcie! idźcie!...

Wypędzili 40 tysięcy Polaków...

Poszli biedni łzami zalani... a Prusak myślał, iż teraz łatwiej zwycięży... wypędził tyle ludzi, wypędzał i dzieci malutkie i starców bezsilnych, wypędzał cichych, spokojnych ludzi, byle Polaków było mniej.

Dzieci.

— Co tu robić? woła Prusak i wścieka się z gniewu.

Polacy są Polakami i nie chcą ziemi Niemcom sprzedawać i nie zapominają polskiej mowy, chociaż w szkole wszystko muszą się po niemiecku uczyć. Co tu robić?...

Aż nagle okropny smutek spada na Polaków... Bije skrzydłami, jęczy i woła żałośnie:

— Straszna walka się rozpocznie!...

— Co to będzie kruku czarny? Co to będzie?...

— Nie będzie wolno dzieciom naszym uczyć się katechizmu po polsku, nie będzie wolno dzieciom naszym pacierza polskiego odmawiać...

Dzieci idą ze szkoły, łzy toczą się po twarzy, na rękach mają sine pręgi...

— Co tobie dziecko? matka woła...

— Zbili mię Prusacy, bo nie chciałam pacierza po niemiecku mówić...

— Co tobie? pyta ojciec syna...

— Do krwi mie bili, ażebym po niemiecku katechizm odpowiadał, nie rzekłem inaczej, jak tylko po polsku!...

Okropna wojna trwa tam od dawna. Dzieci walczą z Prusakiem, słyszycie? dzieci walczą! Prusak ma rózgi, baty, areszty, więzienia, dzieci mają tylko serca polskie i mowę polską, a Prusak zwyciężyć nie może...

Więc co? nie mówiłem wam dzieci, wojna jest straszna!...



BÓG SIĘ RODZI...

Smok.

Smok straszliwy wyciąga łapy, chce zdusić każdego Polaka. — Po co ty żyjesz? woła Prusak-smok... po co ty jesteś na tej ziemi? co ja pocznę, ażeby z ciebie Niemca zrobić?

Sto milionów na kupno ziemi polskiej, to mało, trzeba więcej, więc Smok, rząd pruski, uchwala więcej marek, więcej na kupno... 100 milionów, 200 milionów, 450 milionów daje smok!!...

— Czy wy dzieci wiecie, jak to dużo pieniędzy 450 milionów!?... Nie przerachował by tego jeden człowiek, nie przedźwignąłby na plecach... Ale Smok nie zwycięża...

Wojna okropna się toczy... chodzą Niemcy, namawiają, proszą, kładą złote pieniędze, bierz Polaku.... kupisz sobie gdzieindziej wiele pola, wielkie domy, będziesz bogaty, bierz!...

Lecz Polacy rzekną ostro:

— Idź Smoku pruski!... My Ojczyzny nie sprzedajemy.

Przyjdzie Smok pruski do ubogiego chłopka, który ma malutki zagon i chatę nędzną.

— Dam ci 10 razy tyle złota, ile to warto, sprzedaj...

A Polak jeno rzeknie: — Nie sprzedam: i już koniec... nie ustąpi...

Co za wojna okropna!...

Ale choć się krew nie leje, kule nie świszczą, armaty nie grają, Polacy jeszcze nie przegrali.

Drzymała.

— Chcecie słuchać dalej? Bywalec pyta...

— Ach! mów nam co dalej... dzieci proszą, myśleliśmy, że żartujecie, gdy o wojnie wspominacie, ale teraz widzimy, iż to prawda...

— Gdybym tam był, tak samo bym walczył, woła Kubuś...

— Każdy by tak samo zrobił... każdy tak samo Polskę ziemię kocha i jej nie sprzeda.

— Co dalej? Co dalej?...

Szymon po chwili opowiada:

— Kupił sobie Drzymała kawałek ziemi i zaczął budować chatę. Kupił ziemię od Polaka, ziemię ojczystą, nie żadną niemiecką.

Buduje chatę, aż tu żandarmi stoją i wołają:

— Nie wolno budować chaty!...

— Dlaczego nie wolno? Kupiłem ziemię, kupiłem drzewa, robotników mam, na moim kawałku ziemi chcę chatę zbudować, któż mi zabroni?...

— My nie pozwolimy! wołają żandarmi... Polakowi nie wolno budować chaty na takim miejscu, gdzie jeszcze chaty nie było.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Żegna się biedny Drzymała — czy wy poszaleli, czy wy nie widzicie, że krzywdę czynicie?... Jakże możecie powiedzieć, iż nie wolno mi chaty zbudować. Wszakże ja mam dzieci drobne, gdzież będą one mieszkały, gdy chaty nie zbuduję?

— Uchwalił sejm pruski, iż żadnemu Polakowi nie wolno budować chaty, więc my nie możemy pozwolić.

Zaczyna się więc wojna nowa.

Już się biją o ziemię i chcą płacić milionami. Nie wygrali. Już się biją o polski katechizm i polski pacierz, już dzieci katują i rodziców do więzień zamykają — nie skończona wojna.

Teraz wojna o chatę...

— Nie zbudujesz sobie Polaku chaty! wołają Prusacy... idź! kup sobie gdzieindziej ziemię jaką chcesz, kup sobie ziemię niemiecką, będzie ci wolno robić co chcesz, ale na polskiej ziemi nie wolno ci chaty zbudować...

Nie pozwolą Drzymale, nie pozwolą drugiemu i dziesiątemu — okropna wojna!...

Dzieci Drzymały śpią na sianie bez dachu nad głową. Żona Drzymały gotuje jedzenie na kamieniach w polu, nie wolno jej w chacie przy piecu gotować...

Cóż dzieci? Bywalec żartował, gdy mówił, iż wojna straszna?...

— Biedni ludzie... szepcze Ewusia...

— Smoki szkaradne! wołają chłopcy...

— Żeby tak mnie, tobym nie wiem co

zrobił, jeden z chłopców dodaje i pięście zaciska.

Drzymała zaś rzekł: Macie wy Prusacy swoją ustawę, mam ja swoją ustawę. Waszą wam złość napisała, a moją napisała miłość. Kocham ziemię ojczystą, nie pójdę z niej, nie kupię ziemi niemieckiej, choćbyście ze mną wojnę długo toczyli, ja nie ustąpię.

Wóz.

Ale przyszła zima, dzieci marzną, na polu spać już nie można, stajenka nie zagrzeje, Drzymalina płacze i narzeka!

— Czemu my Polacy tacy biedni i nieszczęśliwi!... Drzymała powiada: Kiedy mi nie wolno zbudować chaty, dam sobie radę.

Kupił taki wóz, w jakim komedjanci jeżdżą, może kiedy widzieliście wóz taki niby domek, są tam okna, jest blaszany kominek, gotują tam i jeżdżą tak z jarmarku na jarmark. Kupił taki wóz, przywiózł na swoje obejście. Macie dzieci biedny dom Polaka, masz żono taką chatę biedną, jak dla tułaczy...

Teraz przychodzą żandarmi i zaciskają ręce ze złości.

— Co robić? Polak wygrał!... Ustawa powiada, iż nie wolno chaty budować i w chacie nie wolno pieca postawić. Ale ustawa nie powiada, iż nie wolno w wozie mieszkać i w wozie gotować...

— Mądry Drzymała! Wiwat mądry Polak!... O jak on dobrze zrobił!... Jak doskonale on sobie poradził!...

Dzieci się cieszą. Mlaskają w ręce... aż jedno z nich zaczyna śpiewać:

Chociażby się Prusak postawił na głowie,
Będziemy mieć Polskę jak nasi ojcowie!...

Zaś Staszek Zazula dośpiewuje od razu:

Smok pisze ustawy, by zgubić Polaków...
Nie zaginie Polska dokąd stoi Kraków!...

Ewa więc dodaje:

Za milion milionów ziemi nie sprzedamy...
Od Boga ją mamy... Bogu ją oddamy!

Bywalec po chwili rzeknie:

— Teraz i za ten biedny wóz Drzymałę karzą — nie może dłużej w nim mieszkać.

— Biedny Polak na polskiej ziemi – szepczą dzieci...

Wywłaszczenie.

Znowu smok okropny wyciąga łapy i chce Polaków pożreć. — Po co wy żyjecie? Po co wy oddechacie, poco wodę pijecie, po co to słońce na was świeci, kiedy wy powinni ginąć i zginąć! Tak woła smok pruski.

Polacy zaś pytają się: Dlaczego wy Prusacy wielki kawał Polski wzięli, gdy nie chcecie Polaków ani znać ani widzieć?... Przyszliście z swojemi wojskami, trzy razy po kawałku Polski krajaliście dla siebie, a teraz chcecie nas zdusić jak te robaki pod nogą się depcze?...

Znowu smok pruski na sejmie uchwałę ustawia: — Trzeba Polaków **wywłaszczyć.**

— Co to znaczy **wywłaszczyć?**

— To znaczy, iż się nie będą pytali Polaka tego lub tamtego, czy sprzeda ziemię, dwór, chatę? Tylko przyszlą mu zawiadomienie! — musisz sprzedać i wynosić się!...

— Jakto musisz?... Jak to pole i ta chata ojcowska, własna...

— Musisz sprzedać! my ci zapłacimy tyle i tyle i ty ani słowa nie możesz powiedzieć, ani sprzeciwić się nie możesz, musisz się stąd wynosić.

— O Jezu Miłosierny!... Toż to krzywda!...

— Straszna krzywda! — Nie mówiłem wam że wojna?... Okropna wojna, gorsza jak z Tatarami albo z Turkami, bo z Turkiem lub z Tatarem mogłeś się bić i jego odgonić, ale tu już niema rady...

Ten pan ma dwór stary, ogród, jeszcze pradziadowie drzewa sadzili, jeszcze pradziady w tym dworze mieszkały. Wszystko dla niego pamiątka droga, serce do tego przywykło.

Przychodzi rozkaz: Wywłaszczenie! I musi człek iść i musi zostawić dom, ogród, mogiły ojców, a tu przyjdą Prusacy i będą budować fabryki, drzewa wycinać, niszczyć, poniewierać pamiątki...

300 tysięcy morgów polskiej ziemi mają

Prusacy **wywłaszczyć** i Polacy z tej ziemi muszą iść na tułactwo...

Ile łez popłynie, ile serc zakamienieje w bolu, ile krzywdy posieje się po tej ziemi, to jeden Bóg zliczy...

— A cóż ci biedni Polacy?...

— Walczą!... Mówię wam, biją się jak bohaterowie i wojna tam jest straszna. Przeciw wywłaszczeniu nic nie mogą poradzić, tylko muszą wnosić sprzeciw do sądu o tę lub o tamtą rzecz. Napiszą n. p. że za te drzewa za mało im dają, albo że za ten dom więcej się należy. To jest tylko sposób, ażeby wywłaszczenie wstrzymać, ażeby mieć sposób na odłożenie... Tak rekursami mogą to jakiś czas wstrzymać, bo myślą, iż może to jakoś się zmieni i może ta ustawa zostanie złamana.

Gdyby wywłaszczenie zaczęli Prusacy wykonywać, toby już okropniejszej chwili sobie nie można wyobrazić...

— Oj co wojna to wojna...

Zamknięte usta.

Czy wy dzieci myślicie, iż to już wszystko?... Smok pruski jeszcze dalej swoje łapy wysuwa. Trzeba Polakom tak dokuczyć i tak ich umęczyć, ażeby przestali nawet myślеć po polsku i mówić po polsku.

Więc znowu na sejmie uchwalają:

— Gdzie się zejdą Polacy na narady lub na zebranie jakie, nie wolno im mówić po polsku, tylko muszą mówić po niemiecku!!

Więc już są Polaków usta zamknięte... już nie wolno przemawiać braciom do braci, już nie wolno naradzać się, między swymi w ważnych sprawach.

Wy — dzieci może nawet nie umiecie sobie wyobrazić jaka to straszna ustawa, wy nie umiecie zrozumieć, ile to bolu i smutku czuje się wtedy, gdy człowiek chce przemówić do rodaków, a tu powiadają — nie wolno! mów po niemiecku!...

Ale wojna trwa — Polacy i teraz sobie dają radę... a wiecie jak?...

Oto zejdą się do wielkiej sali, radzić chcą o ważnej rzeczy, o tem co ich boli, jak się nie dać złamać i tak dalej...

Ale mówić im nie wolno po polsku. Po niemiecku mówić nie chcą. Więc jeden napisze na tablicy to i to, wszyscy na sali przeczytają. Cicho. Nikt słowa nie mówi. Któżby po niemiecku przemawiał! Polacy szanują swe usta — więc ażeby nie wymawiać niemieckich wyrazów, piszą na tablicy zdanie, w ten sposób odbywają się narady czyli wiece, zwane „nieme".

Wszyscy walczą.

Tak przeszedłem przez Wielkopolskę, nad Wartą byłem, w Kruszwicy i Gnieźnie, obchodziłem po wioskach i chatach — przypatrywałem się walce z blizka.

Matki walczą z Prusakiem, bo powiadają do swoich dzieci: Nigdy nie zapominajcie, iż jesteście Polakami – polską mowę szanujcie.

Dzieci walczą z Prusakiem i choć cierpią, mowy swej nie zapierają się.

Walczą z Prusakiem ci, którzy nie chcą swego nazwiska na niemieckie zamienić.

Walczą ci, co jak Drzymała z ziemi się nie ustąpi, choć mu domu nie wolno zbudować. Walczą ci, których mają wywłaszczyć, a więc ta część Polski, która jest przez Prusaków do niewoli wzięta, jest ciągle w boju i walce.

Cóż dzieci?... Jest wojna czy niema?

— Jest! wielka wojna! Ale da Bóg, Polacy zwyciężą...

Bywalec skończył gawędę, spojrzał uważnie na dzieci... czeka, jakie też słowo od nich usłyszy. Dzieci stoją zadumane i ciche. Znać, iż myśl ich gdzieś daleko uleciała, tam, w owe strony, gdzie walka trwa i bój się toczy, choć kule nie świszczą, armaty nie huczą, krew się jednak leje, łzy płyną i Polacy cierpią...

— Dziękujemy wam Szymonie, pięknie dziękujemy za gawędę, rzeknie Kubuś. Prawdziwie nie wiedzieliśmy nic o tem, iż tyle Polaków cierpi tak bardzo.

— I ja wam Szymonie dziękuję... Ciągle będę myślała o tamtych dzieciach, które są do krwi bite za pacierz polski.

Ewusia całuje w rękę starego Szymona i rozrzewniona wraca do chaty.

Kubuś zaś prosi bardzo grzecznie.

— Czy nam jutro co opowiecie.

— Bywacie po dalekich stronach, to nam codzień coś opowiadajcie...

— Może jutro przyjdę.

— Do widzenia!

— Bóg zapłać wam, Szymonie!

Dzieci wracały tęskne... w blaskach zachodzącego słońca widziały Polaków walczących i zdało im się chmura czarna jak smok w stronę Poznania pędziła.

Wojna we wsi.

— Bywalec powie coś ciekawego!... Chodźcie! chodźcie!... Kubuś zwołuje dzieci, Bywalec siedzi pod lipami, fajkę nakłada, czeka.

Dzieci zbiegają się uradowane...

— Dziś wam powiem o wojnie w naszej wsi, rzeknie stary Szymon. Straszna tu jest wojna.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!... żegna się Staszek Zazula, gdyby wojna w naszej wsi była, tybyśmy przecie widzieli.

— Co wam Szymonie z żartami o wojnie, powiadają dzieci.

— Siadajcie! siadajcie, a ja wam powiem szczerą prawdę.

— Widzicie te drzewa za studnią?... Stary to sad Jędrzeja Okolińskiego. Tam wojna jest okropna... krew się leje... ran pełno...

Dzieci wyciągają szyje, nadstawiają uszy. Nic nie widzą, nic nie słyszą.

— Te drzewa opowiadają każdemu przechodzącemu o swojej niedoli, proszą o miłosierdzie i litość, bo im się krzywda dzieje, jak Polakom pod Prusakiem.

— Jedno drzewo mówi: „Wywłaszczenie“ przyszło na mnie. Nie chcą dzieci z tej wsi, ażebym wykarmiło gruszek wiele dla ludzi na pożytek. Biją kamieniami, łamią gałęzie, rwą zielone owoce i co dzień jak Tatarzy wpadają, ażeby mię męczyć.

Jeden z chłopców spuścił oczy i zaczerwienił się po uszy. Szymon mówi dalej:

— Drugie drzewo rzecze: Ja chciałam dać jabłuszek doskonałych pełniusieńko... jabłonka jestem nie leniwa, nie skąpa, zakwitłam na wiosnę, jabłuszek zasiałam pełniusienko, a tu dzieci mię biją i biją, kaleczą i łamią, niewiem za co. Z wrogiem w Polsce walczyli mężni rycerze, a ja jeszcze wrogiem nie jestem.

— Popatrzcie! mówi Szymon, nie wojna to dookoła?...

Te drzewa przy drodze odarte z kory, tamte mają połamane gałęzie jakby pioruny w nie biły, tu u Obolowej, ani jedna czereśnia nie dojrzała na drzewie, a kto to wszystko zrobił jak nie wrogowie? Tatary dzikie, Turcy, Szwedy, Prusaki, Moskale chodzą po Polsce i wszystko niszczą. Wszakże żaden Polak nie zrobi w Ojczyźnie krzywdy... A wy dzieci bawicie się cały dzień, słonko wam świeci, ptaszki śpiewają, dobrze wam i miło i nie wiecie nic o wrogach i o wojnie strasznej?.... Gdybyście przecie widziały tych wrogów, którzy wam drzewa łamią, tobyście ich gnali z kraju, nieprawdaż?...

Dzieci się nie śmieją, nie odpowiadają, nie patrzą na Szymona. Coś pomiędzy niemi przelata jak szept, cichy i coś im powiada w głębi dusz: Wstyd nam! wstyd!...

Szymon spogląda ciekawie, czeka, potem zaczyna opowiadać.

Co ludzie mówili.

— Chodziłem ja chodziłem daleko. Widziałem takie kraje, w których żadnej wojny niema.

Tam przy każdej drodze w polu rosną drzewa, a na nich cudne owoce, szczepione, doskonałe owoce. Nikt tych drzew nie bije i nie kaleczy za to, iż dają owoce. Tak samo są tam we wsi dzieci, ale te dzieci żadnej szkody nie robią nikomu. W tamtych krajach ludzie jedzą owoce wtedy, gdy doj-

rzeją, gdy są już smaczne i zdrowe, a u nas jedzą wtedy owoce, gdy są zielone, kwaśne i niezdrowe.

— Patrzyłem ja na to zdziwiony i pytałem się nie jeden raz — jak wy tu dopilnujecie owoce, ażeby ich nikt nie poobrywał?...

— A ludzie powiadają mi na to: Tylko w Polsce dzieci drzewa biją kamieniami. Tylko w Polsce dzieci skradają owoce z drzew... Bolały mię te słowa gorzej od rany. Taka nasza sława u innych narodów. Dawniej mówiono wśród innych narodów, iż Polacy, to najdzielniejsi do walki z wrogami, a teraz mówią, że polskie dzieci drzewa łamią, owoce kradną... wojnę toczą z każdem drzewem przy drodze...

— Chodźcie dzieci ze mną.. chodźcie!... tędy przejdziemy na lewo i na prawo... będziemy szukali, gdy znajdziemy jedno drzewo, na którem niema połamanych gałęzi, to wam daruję po koronie — dobrze?...

Ruszyły się dzieci, Szymon idzie powoli, dzieci obok niego. Szukają, patrzą... ach! ten Piotruś bez kapelusza radby dostać koronę, aż mu się serce z radości bije, coby to była za radość dostać koronę... ale... ale...

Idą, szukają, patrzą... daremnie!... Ani jednego drzewa we wsi nie znaleźli, ażeby nie miało połamanych gałęzi...

Szymon wtedy rzecze: Wy myślicie, iżbyście umieli walczyć z wrogiem Polski?... Wy sami wojnę prowadzicie i żadno z was nie kocha Polski, gdy wstyd Ojczyźnie przynosi.

Kto wygra?

— Co?... pyta Szymon zdziwiony. Chcecie znowu o wojnie słuchać?... Toż u was wojna co dzień, co godzina... Nie potrzebuję wam opowiadać o walkach krwawych, bo wy na to co dzień patrzycie. Wczoraj Wojtek bił psa kamieniami, aż mu oko wybił, przedwczoraj Kasia cielę biła, aż sińce zostały, dziś rano Józek bił się z Maciejem, aż mu z nosa krew płynęła... taka wojna w Polsce bez końca i bez wytchnienia, cóż o niej opowiadać?

Ale dzieci stoją nieśmiałe i proszą bardzo grzecznie.

— Nie o wojnie brzydkiej i szkaradnej słyszeć chcemy, ale o wojnie takiej z prawdziwyni wrogami, o tej wojnie, co nas od śmierci broni...

— Dobrze!... Gdy tydzień taki przejdzie, a we wsi nie będzie ani razu wojny, to wam będę dalej opowiadał... ale zdaje mi się, rok minie, a takiego tygodnia nie znajdziecie...

Wtedy Stach Zazula woła śmiało:

— Nie będzie wojny! Obaczycie Szymonie!... już nam dość tego wstydu i tej kary!... Już my tak przypilnujemy, ażeby we wsi nikt wojny nie prowadził, obaczycie...

— I ja pilnować będę, rzeknie Zosia... Cóż to? Czy my polskie dzieci mamy być najciemniejsze i najgorsze?...

— I ja do wojny nie dopuszczę... Kubuś odważnie woła...

— Kto wygra — obaczymy... Za tydzień przyjdę.

Bohaterowie.

Nie mają ani pałaszów ani karabinów, nie mają mundurów ani gwiazdek oficerskich, a prowadzą wojnę co dzień.

Chodzą od rana do nocy i bronią niewinnych...

— Pocoś wybrał pisklęta z gniazda?... co ci biedne ptaszę winno, że męczysz i katujesz? Dziwować się, iż Prusak nas męczy, gdy wy Polacy także krzywdę czynicie?

— Za co bijesz konia?... Gdy mu za ciężko, zdejm trochę ciężaru — gdyby ciebie kto bił za to, iż nie możesz więcej udźwignąć, jak ci siły starczy?...

— Dlaczego łamiesz gałęzie? Choć to i wierzba dzika, niech rośnie, śmieją się obcy ludzie z nas, gdy przyjadą i obaczą połamane drzewa, wstyd nam robisz...

— Kamieniami rzucasz od godziny... taki to twój rozum? Te kamienie na gościniec przywieziono za nasze pieniądze. Twój ojciec,

mój ojciec, płacą podatki na utrzymanie drogi, a ty kamienie z drogi rzucasz i rzucasz... wojna taka twoja z czasem, chcesz czas zabić kamieniami? Weź się do roboty...

Tak chodzą bohaterowie, bez pałaszów i bez karabinów, chłopcy i dziewczęta i prowadzą wojnę z ciemnotą innych dzieci...

A stary Szymon czeka i czeka, kiedy dzieci przyjdą powiedzieć:

— Już tydzień przeszedł, wojny nie było.

Wojna nie skończona.

Po dwu miesiącach, usiadł Szymon pod lipami. Dzieci około stanęły i żalą się:

— Nie wygraliśmy!... Strasznie trudno zwyciężyć!...

— Biją zwierzęta, łamią drzewa, biją się z sobą jak Tatarzy i Turki!...

Szymon więc rzeknie:

— Więc poznałyście, iż nie było bajką to, co Bywalec powiedział. Wielka wojna na polskiej ziemi. Tam z Prusakiem walczą nieszczęśliwi Polacy. Tu z Moskalem wojna się toczy o szkoły, o język polski, o szczęście narodu. O! u nas wielka wojna z Ciemnotą.

Ciemnota to jest choroba nie łatwa do wyleczenia. Ci wszyscy, którzy łamią drzewa, biją zwierzęta, rzucają kamieniami, biją się między sobą, to są chorzy na Ciemnotę: A więc dzieci dobre, jeśli chcecie, ażeby z Polaków się nie naśmiewali ludzie z innych krajów, zacznijcie wojnę z Ciemnotą.

— Nie wygramy!... szepce Kuba...

— Nie damy rady... wzdycha Staszek Zazula... A Zosia, jako najciekawsza, woła:

— Nie ustąpię i wygram!

— Oto broń wasza!... Stary Szymon wyjmuje rozmaite książki i rozdaje. Czytajcie, bo na Ciemnotę najlepsza broń – książka...

Ile razy was lenistwo kusić będzie – tyle razy pomyślcie o braciach pod Prusakiem i powtarzajcie dalej...

— Wojna! wojna! ... lecz zwyciężyć musimy.





Drogie Czytelniczki i Czytelnicy!

Lat dziesięć — jak pierwszy wydałyśmy numer „Przodownicy“. Lat dziesięć służenia Wam, Drogie Czytelniczki i Czytelnicy, w mozole i trudzie wielkim. Lat dziesięć — mimo niesumienności tych, którzy korzystali z gazetki, a nie opłacali prenumeraty, nie popierali jej, szliśmy w Wasze progi z radą, pomocą, nauką i rozrywką umysłową. Wszyscy, co należeli do wydawnictwa „Przodownicy“, **przyjaciele Wasi**, składali Wam w ofierze swoje prace, czas i grosz wdowi. W dziesięcioleciu służby naszej dla oświaty kobiet naszych ofiarowujemy Wam ten numer w podarku „Gwiazdkowym“. Obfity i bogaty w treść i obrazek, również ofiarowujem go i **tym, którzy przez rok cały pobierali ją, nie opłaciwszy prenumeraty** mimo próśb i przypomnień — nie ogłaszamy też i ich nazwisk.

Życząc Wam Wesołych Świąt, szlemy wyraz niezmiernej życzliwości i podzięki dla tych, którzy nas rozumieli i z nami współdziałali.

W styczniu podamy zawiadomienie, czy „Przodownica“ nadal wychodzić będzie, a zależeć to będzie od Was samych.

Redakcya.



Nakładem wydawnictwa „Przodownicy“. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.